

WACŁAW F. CAŁUS

NOWA OSTPOLITIK I IMPLIKACJE

SOCCJALDEMOKRACJA Niemieckiej Republiki Federalnej poszła do wyborów parlamentarnych w styczniu 1987 roku politycznie rozbita i pozbawiona sprężystego kierownictwa. Rozbicie polityczne jest wynikiem zwalczających się idei w dziedzinie społecznej organizacji państwa i w dziedzinie polityki zagranicznej a zwłaszcza polityki wschodniej — Ostpolitik. Trzon partii jest za gruntownym zrewidowaniem roli RFN i Europy Zachodniej w aliansie NATO oraz za gruntowną rewizją Ostpolitik z lat 1970-tych. Podczas wyborów był znany zarys nowej Ostpolitik, ale jest w niej szereg punktów wymagających rozpracowania. Biorąc pod uwagę ten stan niedokończonej rekonstrukcji programu partyjnego jej klęska wyborcza nie była tak wielka, jak ją przedstawiła większość komentatorów politycznych. Ostateczny kształt nowej Ostpolitik, jeżeli zaaprobowany przez społeczeństwo niemieckie, mógłby radykalnie polepszyć szanse wyborcze socjaldemokratów w przyszłości.

Nowa Ostpolitik

Na kongresie w Kolonii w roku 1983, Socjaldemokraci (SPD) odrzucili ideę stacjonowania amerykańskich broni nuklearnych na niemieckim terytorium, mimo silnego sprzeciwu byłego kanclerza Schmidta. To było początkiem

ujawniania zrewidowanej Ostpolitik, formułowanej od dłuższego czasu przez wewnętrzną opozycję do polityki Schmidta. Ta nowa polityka ma poparcie głównego członu partii, prowadzonego przez Johannes Rau i dwóch znacznie mniejszych grup. Jedną z nich jest radykalna grupa, którą można porównać z grupą Wedgewood Benn'a w W. Brytanii, prowadzona przez Oskar Lafontaine, premiera Saary. Po drugiej stronie głównego członu partii jest dość duży odłam o bliżej nieokreślonej ideologii i o skłonnościach anarchistycznych dążący do włączenia tak zwanej partii „zielonych”. Ta grupa przypomina, pod względem temperamentu chociaż nie pod względem dobrze zdefiniowanych celów, trockistowskie ruchy takie jak „militant tendency” w W. Brytanii.

Ostpolitik lat 1970-tych prowadzona przez Brandta a następnie przez Schmidta była w głównych swych zarysach, chociaż nie w praktyce, wspólnym dziełem przemysłów Zachodniego Aliansu. W dziedzinie obrony narodowej SPD wtedy stała na stanowisku aliansu posiadającego w swym składzie Stany Zjednoczone. Gwarancją zobowiązań sojuszniczych USA był silny ich kontyngent wojska i broni nuklearnych w Europie. To głównie Schmidt był odpowiedzialny za ich zainstalowanie w Europie.

Te zasady polityki zagranicznej uległy kompletnej zmianie po

przejściu SPD do opozycji w roku 1982. Dokładną ewolucję wydarzeń w SPD od tego czasu podaje analityczny artykuł w *Aussen Politik* z pierwszego kwartału 1987 roku. Powodem zmian w kierunku polityki SPD jest fakt, że do głosu dochodzi pokolenie, które nie zna okropności drugiej wojny światowej i które nie zna okoliczności w jakich NRF stała się znowu najważniejszym państwem w Zachodniej Europie. Młodsze pokolenie nie obciążone nawykami myślowymi bezpośrednich lat powojennych nie podziela obaw starszego pokolenia, że Rosja ma zamiary agresywne w stosunku do Europy Zachodniej. Uważa ono, że Stany Zjednoczone nie posiadają długofalowej polityki zagranicznej i nie są zdolne dać aliansowi NATO przywództwa politycznego. Uważa ono, że istnienie licznych arsenałów broni nuklearnych doprowadzi do wojny, nie koniecznie planowanej i dlatego należy się ich pozbyć.

Zgodnie z tymi zasadami kongres z sierpnia 1986 roku w Norymberdze podjął szereg radykalnych rezolucji, które są rozpracowywane na program polityczny partii. W dziedzinie broni nuklearnych SPD dąży do jednostronnego rozbrojenia, usunięcia wszystkich broni amerykańskich z terytorium Niemiec i unieważnienia dotychczas zawartych kontraktów prac badawczych w celu rozwoju sprzętu „wojen gwiazdnych”. Ten program

jest identyczny z programem brytyjskiej partii pracy. Jest planowana redukcja budżetu wojskowego i przekształcenie armii w siłę wyłącznie obronną, pozbawioną sprzętu i zdolności ofensywnych. Dodatkowo bezpieczeństwo kraju miałyby być zabezpieczone przez szereg układów z krajami bloku wschodniego, które — zakłada się — przyjmą podobne zasady obrony ich krajów. Mimo tych restrykcji obronnych intencją SPD jest, by NRF pozostała członkiem NATO. Jedynie Oskar Lafontaine chce zerwać z aliansem NATO. Wydaje się, że to planowanie ma szereg słabostek, które z czasem może będą skorygowane.

SPD uważa, że détente z krajami bloku wschodniego jest najważniejszym zadaniem jej polityki zagranicznej i musi dążyć do pogłębienia i rozszerzenia współpracy gospodarczej, wymiany handlowej, kulturowej i ekologicznej. Polityka détente w Europie ma mieć pierwszeństwo w wypadku kolizji z potrzebami polityki sojuszu NATO.

Już w okresie opozycji SPD zaangażowała się w szeregu negocjacji z partiami komunistycznymi bloku wschodniego przygotowując projekty układów, które mają wejść w życie po dojściu jej do władzy w NRF. W roku 1985 SPD i wschodnio-niemiecka partia komunistyczna podpisały projekt układu o ustanowieniu strefy wolnej od

broni chemicznych w Środkowej Europie. Są także w toku negocjacji między nimi o ustanowienie strefy wolnej od broni nuklearnych w tej samej części Europy.

W listopadzie 1985 roku SPD podpisała z polską partią PZPR projekt układu o współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa. Zostały także mianowane zespoły SPD do negocjacji z partiami Czechosłowacji i Węgier w sprawie poszerzenia już istniejącej współpracy w dziedzinie ekonomii i ekologii. Nie jest normalnie praktykowane przeprowadzanie tego rodzaju negocjacji partii w opozycji z partiami u władzy w innych państwach.

Wpływ SPD na politykę NRF

Wydaje się, że tak zmieniona Ostpolitik Socjaldemokracji jest oparta w większej mierze na wierze w dobrą wolę komunistycznych partii bloku sowieckiego a mniej na chłodnej kalkulacji. Mimo tego jej ocena sytuacji i wynikająca stąd polityka odpowiadają dużej części społeczeństwa niemieckiego. Styczniowe wybory parlamentarne potwierdzają ten pogląd. Ilość wybranych posłów dwóch głównych partii uległa redukcji, ale SPD ucierpiała mniej niż Chrześcijańska Demokracja z jej bawarską gałęzią (CDU/CSU). Reprezentacja CDU/CSU w Bundestagu spadła z 244 w roku 1983 do 223 w roku 1987. (DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

ADAM BROMKE

WIZYTA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Artykuł ten jest tłumaczeniem z angielskiego trzech odcinków tygodniowej rubryki: „Scena międzynarodowa”, prowadzonej przez autora w „The Toronto Star”, z 10, 17 i 24 marca br.

REDAKCJA

I. Berlin

Miasto to jest odpowiednim miejscem do refleksji nad meandrami najnowszej historii Niemiec. Pierwszy raz byłem tu jako młody żołnierz wkrótce po zakończeniu działań wojennych. Całe dzielnice miasta były w ruinie — zbombardowane przez alianckie lotnictwo, bądź też zniszczone przez atakujące oddziały sowieckie.

Arogancja Trzeciej Rzeszy należała już do przeszłości. Ludzie byli głodni i zdemoralizowani. Kiedy piłem erztatz kawę — to co było wówczas jedynie dostępne w niewielu kawiarniach, które pozostały otwarte — podszedł do mnie jeden z mężczyzn o kulach ubrany jeszcze w mundur Wehrmachtu, żebrząc o papierosa.

Niemcy zapłaciły wysoką cenę za wojnę, którą wywołały. Straciły terytoria zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. A także zostały podzielone na dwa państwa: Niemcy Zachodnie, formalnie określone jako Niemiecka Republika Federalna, i Niemcy Wschodnie, zwane Niemiecką Republiką Demokratyczną. W obecnym układzie stosunków Wschód — Zachód szanse na zjednoczenie kraju właściwie nie istnieją.

Berlin jest żywym świadectwem

tej sytuacji. Jego zachodnia część złączona jest z Zachodnimi Niemcami (choć posiada znaczną autonomię) i chroniona jest nadal przez garnizony amerykańskie, brytyjskie i francuskie; otoczony jest natomiast całkowicie przez Niemcy Wschodnie, których rząd mieści się we wschodniej części miasta.

Co więcej, już przez przeszło dwadzieścia pięć lat Zachodni Berlin pozostaje dosłownie zamurowany. Odgródzony jest od wschodniej części miasta wysokim murem (nawet okna w domach po wschodniej stronie są zamurowane), za którym znajdują się zasieki kolczaste strzeżone stale przez wschodnio-niemieckich i sowieckich żołnierzy. Obecnie panuje tam względny spokój, ale w przeszłości wielu Wschodnich Niemców zostało zabitych próbując ucieczki na Zachód.

Dzisiaj Zachodni Berlin jest zamkniętym i tętniącym życiem miastem. Jest również ważnym centrum przemysłowym — szczególnie w dziedzinie przemysłu elektrycznego i mechaniczno-inżynierskiego. W czasie odbudowy miasto zostało zmodernizowane, ale tak daleko jak było to tylko możliwe jego historyczny charakter został zachowany.

Miasto jest dosyć wielkie, aby

jego mieszkańcy, liczący 1,9 miliona, nie cierpieli na klaustrofobię. Jest w nim dużo zieleni i parków.

Ale po wojnie Zachodni Berlin przeżywał też trudne chwile. W 1948-49 roku Sowiety zablokowały dostęp lądem do miasta starając się głodem wypędzić stamtąd zachodnie garnizony. Wszelkie zaopatrzenie, włączając węgiel, dostarczane było przez amerykańskie i brytyjskie samoloty. Była to trudna zima. Ale wiosną sowiecka blokada została zniesiona.

W 1961 Sowiety ponowiły żądania, aby całe miasto zostało włączone do Niemiec Wschodnich. W kulminacyjnym punkcie tego kryzysu sowieckie i amerykańskie czołgi stanęły naprzeciw siebie po dwóch stronach Checkpoint Charlie — jednego z paru przejść między dwoma częściami miasta. Prezydent John F. Kennedy i ówczesny burmistrz Zachodniego Berlina Willy Brandt, byli jednak nieustępliwi i Sowiety zrezygnowały ze swoich roszczeń.

Kiedy Brandt został kanclerzem w 1969 roku podjął on politykę pojednania z sąsiadami Niemiec Zachodnich na wschodzie. Jednym z jego celów było złagodzenie napięcia w Berlinie. W klimacie odprężenia, jaki wówczas panował w stosunkach Wschód — Zachód, udało mu się to osiągnąć.

W 1971 roku podpisana została umowa między czterema okupującymi mocarstwami gwarantująca dostęp do Zachodniego Berlina.

Równocześnie stosunki między Niemcami Zachodnimi a Wschodem uległy normalizacji. Pomimo szybkiego odprężenia Wschód — Zachód w następnych latach umowa z 1971 roku jest dalej respektowana. Sowiety nie podjęły już więcej wysiłków włączania Zachodniego Berlina w orbitę ich wpływów.

Zachodni Niemcy i berlińczycy także pogodzili się z istniejącą sytuacją. Świadomi są naturalnie anormalnej sytuacji w Berlinie i nie wyrzekli się nadziei, że prędzej czy później, ich kraj zostanie zjednoczony a miasto stanie się znowu jego stolicą.

Ale Niemcy rozumieją również, że biorąc pod uwagę obecną sytuację międzynarodową, są to odległe marzenia. Tak długo jak Europa jest podzielona na sowiecką i amerykańską orbitę wpływów, Niemcy i Berlin także będą podzielone. Zajmują się więc oni głównie swoimi własnymi sprawami starając się stworzyć sobie jak najlepsze warunki życia.

Dla młodego pokolenia Niemców czasy Adolfa Hitlera są już równie odległe jak dla ich dziadów była epoka Ottona von Bismarcka (twórca Drugiej Rzeszy, którego pomnik dalej stoi tutaj). Wiedzą oni o zbrodniach nazistowskich, ale nie czują się za nie odpowiedzialni. Podkreślają raczej z dumą swoją czterdziestoletnią tradycję demokratyczną.

Młodzi ludzie wyglądają na

tryskających energią i zadowolonych z siebie. I naturalnie w Zachodnim Berlinie można obstałować o wiele więcej niż tylko erztatz kawę.

II. Bonn

W porównaniu z Berlinem, Bonn — liczący nie wiele więcej niż ćwierć miliona mieszkańców — jest małym i sennym miasteczkiem. Bonn ma własną dumną tradycję, jako ważne centrum religijne i uniwersyteckie. Jego malownicze położenie na stokach łagodnych pagórków staczających się do Renu, tradycyjnie przyciągało emerytów.

Kiedy powstała Niemiecka Republika Federalna w 1949 roku, jej twórca Konrad Adenauer (sam Nadreńczyk) wybrał Bonn jako prowizoryczną stolicę, licząc, że kiedy kraj zostanie zjednoczony to rząd przeniesie się znowu do Berlina. Tak jednak się nie stało — w czterdzieści lat później Zachodni Berlin jest nadal enklawą, w środku Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a Bonn pozostaje stolicą Zachodnich Niemiec. N.R.F. jest jednak bardziej wpływowa niż N.R.D., a więc główne decyzje dotyczące losów całego narodu niemieckiego podejmowane są w tym mieście.

Właściwie istnieją dwa miasta Bonn. Stare z pełnymi wdzięku

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

NOWA OSTPOLITIK

Odpowiednie liczby dla SPD są 193 i 186. Partia zielonych, której idee SPD są bliższe od idei CDU/CSU powiększyła swą reprezentację z 27 w roku 1983 do 42 w roku 1987. Liberalowie także powiększyli swój stan posiadania i odpowiednie liczby są 34 i 46.

Pozycja SPD w społeczeństwie niemieckim jest może silniejsza niż komentarzy tych wyborów sugerowali. Sprzyjającą okolicznością dla pozycji SPD jest polityka kontroli broni nuklearnych propagowana przez Gorbaczowa, którą duża proporcja społeczeństwa przyjmuje na wiarę. Dodatkową okolicznością sprzyjającą SPD jest fakt, że wewnątrz koalicji rządowej istnieje duża różnica zdań w sprawie propozycji Gorbaczowa. Minister spraw zagranicznych Genscher opowiada się za przyjęciem ich, podczas gdy CDU/CSU odnosi się sceptycznie do nich. Znosi się na to, że w negocjacjach o kontrolę broni nuklearnych NRF okazuje się słabym punktem wśród państw Europy Zachodniej.

Nie należy wykluczyć, że stosunek CDU/CSU do nowej Ostpolitik będzie analogiczny do tej z lat

1970-tych. Wtedy CDU/CSU była w ostrej opozycji do niej, ale zmieniła swe stanowisko i po przejęciu władzy kontynuowała ją skrupulatnie, bo widziała w niej interes niemiecki. Podobna sytuacja może powstać i tym razem, gdy element chęci w polityce SPD zostanie zastąpiony racjonalną propozycją. Nawet kanclerz Kohl nie jest dostrynerem i potrafi zaakceptować propozycje SPD jeśli okaże się, że są korzystne dla Niemiec. To Kohl kiedyś powiedział, że „znaczenie Związku Sowieckiego dla Niemiec jest centralne, podczas gdy Stanów Zjednoczonych tylko żywotne” (*The Guardian* 1.5.87). Powódz dyplomatycznych propozycji Gorbaczowa z pewnością zmusza kierownictwo polityczne NRF do analizy ciągle stwarzanych nowych sytuacji. Może dlatego jest widoczne oziębienie w stosunkach ze Wspólnotą Europejską (*Financial Times*, 3.4.87).

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Inne socjaldemokracje w Europie

The Guardian z dnia 22.7.86 opublikował tekst dokumentu zatytułowanego „Socjalistyczny Ruch Odnowy”, pochodzącego ze źródeł rosyjskich. We wprowadzeniu do tego dokumentu *The Guardian* stwierdza, że jest on pracą wysoko postawionych osobistości z partii i administracji Związku Sowieckiego, ludzi którzy są niewątpliwymi patriotami swego kraju. Krytykują oni słabości Związku Sowieckiego i wysuwają projekty jego naprawy. Ich propozycje są podobne do reformistycznych propozycji Gorbaczowa ale idą znacznie dalej. Gorbaczow jest rzekomo w kontakcie z tą grupą. Ich dokument nie uzyskał pozwolenia na opublikowanie w Związku Sowieckim i krąży tam w postaci

samizdatu. Ten dokument traktuje całokształt polityki rosyjskiej, ale dla tematu rozważanego w tym artykule dwa punkty mają znaczenie.

Jest w nim krytykowana polityka w stosunku do krajów bloku sowieckiego, których lojalność zapewniają stacjonowane tam czołgi a nie racjonalna polityka. Jest dobrym znakiem, że są ludzie w Rosji, którzy to widzą i nie obawiają się o tym mówić. Potępiają oni również rosyjską politykę zagraniczną w ogóle i twierdzą, że jest możliwe stworzenie socjalistycznego bloku państw składającego się z dobrowolnych członków, jeżeli zostaną zastosowane racjonalne metody dyplomatyczne. Nie jest jasne w tym dokumencie, czy autorzy mają na myśli tylko kraje bloku wschodniego czy całą Europę. W każdym razie ta propozycja ma wiele wspólnych punktów z planami socjaldemokratów niemieckich.

W dziedzinie obrony narodowej dokument wysuwa propozycje, by siły militarne państw Europy były nastawione na obronę i pozbawione zdolności ofensywnych zarówno w sprzeczce wojskowym jak i w szkoleniu personelu militarnego. Propozycję tę powtórzył Gorbaczow w przemówieniu na niedawnym „Moskiewskim Forum”, jak twierdził były brytyjski minister spraw zagranicznych Denis Healey (*New Statesman* 27.3.87). Jest ona analogiczna do propozycji niemieckich socjaldemokratów i brytyjskiej partii pracy.

Nie wiadomo, czy te oczywiste podobieństwa w propozycjach dla stosunków między państwowych i dla obrony narodowej wychodzące od niektórych partii socjaldemokratycznych i od „Socjalistycznego Ruchu Odnowy” w Związku Sowieckim są przypadkiem czy wynikiem jakiegoś planowania. Idee te mogłyby się stać źródłem wielkich zmian w Europie, jeżeli są wynikiem bezinteresownej strategii a nie taktycznym posunięciem ze strony „Socjalistycznego Ruchu Odnowy”.

WACŁAW F. CAŁUS

pałacami, i nowe zaznaczone nowoczesnymi budynkami rządowymi. W tej drugiej części należy właśnie szukać tętnej obecnej polityki niemieckiej. A od czasu ostatnich wyborów z 25 stycznia pulsuje ono z dużą siłą.

Sama kampania wyborcza była nieciekawa. Spodziewano się ogólnie, że Chrześcijańscy Demokraci, pod przewodnictwem Helmuta Kohla, utrzymają się przy władzy. A nawet biorąc pod uwagę koniunkturę gospodarczą — z marką niemiecką rosnącą na wartości, a inflację zupełnie wyeliminowaną — sądzono nawet, że Chrześcijańscy Demokraci uzyskają bezwzględną większość w parlamencie.

Główna partia opozycyjna Socjalnych Demokratów podzieleną była na skrzydło umiarkowane, starające się pozyskać sobie centrum wyborcze, i lewicę, usiłującą odebrać głosy radykalnej partii Zielonych. Przywódca Socjalnej Demokracji, Johannes Rau, nie odznaczył się większą błyskotliwością niż — ogólnie uważany za człowieka bez większej wyobraźni — Kohl. W tej sytuacji Chrześcijańscy Demokraci liczyli nawet, że uzyskując absolutną większość, uda im się pozbyć ich koalicyjnych partnerów w rządzie: Wolnych Demokratów.

Rezultat wyborów był jednak inny. Chrześcijańscy Demokraci wprawdzie je wygrali, ale nie zwiększoną lecz zmniejszoną ilością głosów. Poparcie dla Socjalnych Demokratów także zmalało. Zwycięzcami okazały się dwie mniejsze partie: Wolnych Demokratów i Zielonych.

Ostatnie wybory, choć utrzymały ciągłość obecnego rządu na następne cztery lata, mogą także oznaczać początek zasadniczego przełomu w zachodnio-niemieckim układzie politycznym. Znaczące jest, że w skomplikowanym systemie, gdzie wyborcy mogą podzielić swoje głosy, wielu z nich — a szczególnie ludzie młodzi — wykorzystali to, aby poprzeć zarówno ciągłość, jak i przemianę. Zatwierdzili oni politykę obecnego rządu, ale również wyrazili wobec niej swoje zastrzeżenia.

ODNOWIENIE

PRENUMERATY
NA CZAS,
TO NAJLEPSZA
POMOC
DLA NASZEGO
PISMA.

Charakterystyczne jest, że wyborcy nie poparli również głównej partii opozycyjnej, ale raczej mniejsze partie. Jeśli więc obecny trend polityczny się utrzyma to Chrześcijańscy Demokraci nie wygrają zapewne następnych wyborów, ale i Socjalni Demokraci nie będą w stanie przejąć rządów. Po wyborach rozbieżności między umiarkowanym i radykalnym skrzydłem Socjalnych Demokratów tylko się pogłębiły i nie wydaje się, nawet pod przywództwem bardziej błyskotliwego przywódcy niż Rau, aby mogli oni zewrzeć swoje szeregi.

W polityce zachodnio-niemieckiej następują więc istotne zmiany. Zdolność do integracji różnych interesów społecznych w ramach dwóch partii wyraźnie zmalała. W jej miejsce wyłania się bardziej skomplikowany system polityczny złożony z szeregu partii — dający głosującym większy wybór w różnych sprawach. Nie będzie to wprawdzie system tak zróżnicowany jak w Republice Weimarskiej, gdzie istniało wiele partii, ale także nie będzie to już system wyłącznie dwupartyjny.

Na przemianę te złożyły się dwie główne przyczyny. Przede wszystkim, sam już sukces Niemiec Zachodnich popycha je w tym kierunku. Jako jeden z najbardziej zaawansowanych krajów w świecie, Niemcy stoją wobec szeregu bezprecedensowych problemów. Powoduje to konieczność szukania nowych rozwiązań w polityce finansowej i socjalnej, jak i parania się z problemami energetycznymi i ekologicznymi.

Istnieją jednak także i historyczne przyczyny niezadowolienia wśród Zachodnich Niemców. W głębi serca wielu z nich nie jest pogodzonych z ich obecną pozycją w sferze międzynarodowej — z podziałem kraju i zależnością jego zachodniej części od Stanów Zjednoczonych. A potęgą gospodarczą popycha ich tylko do szukania sposobów zwiększenia ich wpływów politycznych.

Ostatnie wybory w N.R.F., choć powierzchownie potwierdziły status quo, mogą być więc także początkiem zasadniczych przemian politycznych w tym kraju. Wielu bowiem Niemców — włączając w to młodych ludzi — ciągle nie straciło nadziei na przeniesienie ich stolicy z Bonn do Berlina.

WIZYTA

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

III. Bonn

Zachodnio-niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych mieści się w nowoczesnym bloku położonym w centrum miasta. Wewnątrz kursują stale w przeciwnych kierunkach dwie otwarte windy, do których szybko wskakują zagonieni urzędnicy. Stwarza to wrażenie celowości i zręczności.

W polityce międzynarodowej Zachodni Niemcy kierują się zasadami *Realpolitik* — dążeniem do wykorzystania wszelkich istniejących sposobności, ale przy świadomości ich granic. Oznacza to trzeźwą ocenę geopolitycznego położenia kraju wolną od ideologicznych aberracji.

Jako przestrożkę przeciwko temu czego Niemcy nie powinni powtarzać z przeszłości, podsekretarz Stanu Andreas Mayer-Landrut, trzyma w swoim gabinecie ciekawą mapę. Pokazuje ona przedwojenną Polskę z nakreśloną w środku linią demarkacyjną wyznaczającą części tego kraju, które miały przyspać w udziale Niemcom i Rosji. Nosi ona dwa podpisy: nazistowskiego ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa i Józefa Stalina. Datowana jest znamienne we wrześniu 1939 roku.

Mayer-Landrut jest wytrawnym dyplomata. Tacy właśnie zawodowcy wypracowują zasadnicze koncepcje i utrzymują ciągłość w zachodnio-niemieckiej polityce zagranicznej. Za czasów socjaldemokratycznego kanclerza Helmuta Schmidta, Mayer-Landrut był ambasadorem w Z.S.S.R.; a za rządów chrześcijańsko-demokratycznego kanclerza, Helmuta Kohla, objął on kluczowe stanowisko w ministerstwie.

Ciągłość jest jednak zachowywana i na szczeblu politycznym. Przywódca Wolnych Demokratów, Hans-Dietrich Genscher, był ministrem spraw zagranicznych zarówno w gabinecie Schmidta, jak i Kohla. Genscher ustawiony jest w centrum. Mitygował on najpierw krytykę Stanów Zjednoczonych przez Schmidta, a następnie antysowieckie wystąpienia Kohla. Z wzmocnieniem się wpływów Wolnych Demokratów w ostatnich wyborach, wpływy Genschera w rządzie koalicyjnym także wzrosły.

Pierwszym celem Zachodnich Niemiec jest ochrona ich niepodległości i demokracji. Aby to osiągnąć zakontraktowane są mocno w zachodnim sojuszu. Zachodni Niemcy lubią się określać jako najważniejsi partnerzy Amerykanów w Europie. Od 1982 roku kiedy doszedł on do władzy, Kohl podkreślał ostentacyjnie swoje bliskie związki z prezydentem Ronaldem Reaganem.

Ale można też dostrzec i pewne rozczarowanie do Stanów Zjednoczonych. Częściowo jest to wynikiem zaniepokojenia — ogólnego wśród zachodnich Europejczyków — ostatnim potknięciem się administracji Reagana. Zachodni Niemcy są także nieufni do ciągłych zmian ze strony Ameryki w dziedzinie kontroli zbrojeń. Wielu z nich nie ukrywało, że mają także zastrzeżenia — i że nie są zadowoleni z udziału ich kraju w tym przedsięwzięciu w stosunku do amerykańskiej Strategicznej Obrony Inicjatyw.

Drugim głównym celem Zachodnich Niemiec jest jak to określają *Deutschlandpolitik* — niesienie pomocy ich rodakom we Wschodnich Niemczech. Nie mają

oni iluzji, że wkrótce zostanie usunięty podział kraju, ale starają się przynajmniej złagodzić tego konsekwencje. Dążą oni, używając tu przede wszystkim swoich wpływów gospodarczych, do zmniejszenia barier dzielących dwie części kraju i starają się delikatnie sterować reżim wschodnio-niemiecki w kierunku większego umiarkowania.

Wielką pomocą dla *Deutschlandpolitik* byłaby ewolucja w kierunku demokratyzacji w bloku komunistycznym. Zachodni Niemcy śledzą więc uważnie ostatnie przemiany w Związku Sowieckim. W przemówieniu w Dawos w Szwajcarii zaraz po wyborach, Genscher poświęcił wiele uwagi reformom Michała Gorbaczowa i określił je jako obiecujące.

Reformy te mogą stanowić historyczną szansę, stwierdził Genscher. Jeśli tak jest istotnie, to Zachód powinien odpowiedzieć pozytywnie na „nowe myślenie” i „nową politykę” w Związku Sowieckim. W parę tygodni później, przedstawiając w parlamencie politykę nowego rządu, Kohl potwierdził stanowisko swojego ministra spraw zagranicznych.

Zachodnio-niemiecka polityka zagraniczna jest więc nie tylko realistyczna, ale gruntownie prze-myślana i zreżymnie rzeczywistna.

ADAM BROMKE

LISTY DO REDAKCJI

KURIERZY N.O.W.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jeden fragment wspomnień Józefa Baranieckiego („Myśl Polska” z 1.2.-15.3.87) zawiera pewne nieścisłości tam, gdzie autor relacjonuje wydarzenia, w których nie brał bezpośredniego udziału. Chodzi mi o dalsze losy Juliana Nowakowskiego i Mieczysława Nawrota, dwóch kurierów wysłanych z Francji dla nawiązania łączności z władzami Stronnictwa w Kraju.

Mietek Nawrot nie został aresztowany w Austrii i szczęśliwie dotarł na Węgry. Obaj oni, wspólnie z Eugeniuszem Jezierskim (zginął w czasie Powstania w pierwszym, nieudanym, natarciu na Komendę Policji) i niżej podpisanym, zorganizowali łączność Prezydium SN w Kraju i Komendy Głównej NOW z placówkami SN i NOW w Budapeszcie, które pozostawały w kontakcie z władzami Stronnictwa w Londynie.

Julek Nowakowski zginął nie w obronie drukarni „Walki” lecz w nieszcześliwej, pod każdym względem, próbie odbicia więźniów warszawskiego Pawiaka krótko przed Powstaniem. Mietek Nawrot został aresztowany w Budapeszcie po okupowaniu Węgier przez Niemców i zginął w obozie

koncentracyjnym (Według nie sprawdzonych danych, przy próbie ucieczki podczas ewakuacji obozu Mauthausen).

Wyrazy szacunku i serdeczne pozdrowienia łączę

KONRAD NIKLEWICZ
24 kwietnia 1987
Hove, Sussex.

Nowość! Nowość!

MAREK CELT
(CHCIUK)

BIALI KURIERZY

Zbeletryzowane wspomnienia kuriera ZWZ kursującego na początku r. 1940 między Budapesztem a okupowaną Małopolską Wschodnią.

Groza aresztowań i wywózek, postawa ludności, dramatyczne dzieje kurierów. Wiele dialogów w „balaku” lwowskim.

380 str., 29 zdjęć, mapa kurierska.
Cena — DM 38.00 lub równowartość.

Skład główny:

Marek Celt, Nikolaus Mueller Str. 13
8033 PLANEGG, WEST GERMANY

L. R. JASIEŃCZYK KRAJEWSKI

TRUDNOŚCI I PRZESZKODY

KONIEC CHOROBY może czasem być powodem trudności dla pacjenta. Musi on bowiem powstać z łóżka i zacząć na nowo wchodzić w swoje zwykłe zajęcia, pomimo słabości i odzwyczajenia się. Coś podobnego widzimy w sprawie rozmów rozbrojeniowych: nagłe propozycje rosyjskie wydają się straszne, ponieważ przychodzą po dekadach impasu konfrontacji.

Względy strategiczne i ogólnie wojskowe z pewnością mają swoją wagę i muszą być brane pod uwagę w rozmowach. Jednak okazja ta ujawnia większe i głębsze trudności, których istnienie było znane i do przewidzenia. Zarówno Gorbaczow jak i Reagan z nimi się muszą spotkać i je jakoś rozwiązać, co będzie dobrą miarą ich zdolności.

Najpierw, „panowanie” Breżniewa wytworzyło stan trwałego usztywnienia postaw, nieprzejednania i głębokiej wzajemnej nieufności. Było to skutkiem wielkiego nieprzygotowania tego odchodzącego pokolenia „ojców Rewolucji” do krytycznego i pozytywnego traktowania spraw polityki. Polegali oni na formułkach i wskazaniach doktrynalnych pisanych w zupełnie innych czasach i mających „religijne” cele. Brak akademickiego wykształcenia i chęć podtrzymania mitu nieomyślności Partii dodawały do klimatu myślowego paraliżu, który dla Zachodu stał się standaryzowaną klasyfikacją postawy Sowietów.

To wytworzyło odpowiednie przeciw-postawy wśród polityków Zachodu. Nie wierzono w szybkie i zasadnicze zmiany po stronie rosyjskiej i rachowano na dwie możliwości: albo bardzo długiego wycieknięcia, albo nagłego przewrotu, wywołanego wybuchem rewolucji skrajnie lewicowej. Nie przewidywano innych rozwiązań.

Fenomen Andropowa-Gorbaczowa teoretycznie nie dawał się przewidzieć. I teraz łatwiej mu zaprzeczać lub poddawać w wątpliwość, niż się z nim liczyć. A zwłaszcza dla tych,

którzy wiązali się od początku z koncepcją rozbitcia Rosji.

TA ORIENTACJA dysponuje wielkim arsenałem argumentów. Przecież imperium stalinowskie nadal trwa. Narody ujarzmione i okrojone zaborami z okresu paktu z Hitlerem są świadectwem przeciw Rosji; Afganistan jest potwierdzeniem, że się nic w tym zakresie nie zmieniło. Wewnętrzne trudności „pierestrojki” dają się tłumaczyć jako dowód niezmienności nastawienia samego narodu rosyjskiego, ujarzmionego od czasów tatarskich i carskich w okowach duchowego niewolnictwa. Te argumenty dzisiaj podnoszone są przeciw jakiemukolwiek „wyjściu na przeciw” propozycjom Gorbaczowa. Są one bardzo dogodną bronią w ręku tych, którzy zachowują wierność koncepcji Pan-Europę pod hegemonią Niemiec.

Pamięć ludzka bywa krótka. Umiera wraz z pokoleniem. Dwie wojny światowe nie wystarczyły, by przekonać masy o powodach, które te wojny uruchamiały. A przecież w swoim czasie to było jasno i niedwuznacznie wypowiadane: Druga i Trzecia Rzesza nie kryła wcale, że przyszłość Europy widzi w jej zjednoczeniu pod swoim przywództwem, w marszu na Wschód. Gdzie nie wystarczała wojna, eksportowano Rewolucję; gdzie ta ostatnia zawodziła, ponawiano wojnę. Mobilizowano opinię przyjaciół i przeciwników za „pokojem bez aneksji”, za „obroną Europy przeciw bezbożnemu komunizmowi”. Przedstawiano żołnierza niemieckiego jako prawie forpczę Wolności.

Pomimo wszelkiej oczywistości, te „sentymenty” znajdowały przyjaciół nawet za oceanem. I nadal znajdują. Nadal koncepcja narodowościowego rozkładu Rosji poprzez popieranie „nacionalizmów” etnicznych wewnątrz terytorium i agitacja za „wolnością” dla wszystkich pozoruje idealistyczne cele tych, którzy w istocie myślą o agresji i podboju.

Nie są to wcale rachuby nierealne. Pokłosie stalinowsko-breżniewowskiej opresji jest bardzo trwałe: wszystko wydaje się lepsze od „opieki” sowieckiej. Lęk i nienawiść stały się stanem chronicznym i tłem dla każdego rozważań. Zaufać Rosji, to w opinii powszechnej dowód bezgranicznej naiwności. Zapomina się przy tym, że jeszcze bardziej odnosi się to do zaufania Niemcom. Wiedzą o tym doskonale inspiratorzy „krucjaty” przeciwrosyjskiej i na tym opierają swoje nadzieje.

TRZEŻWA OCENA w tych warunkach musi wydobywać się z ograniczeń i uwarunkowań postaw uczuciowych. Tak, kredyt zaufania zdobywa się tylko faktami. Tak, nie wolno dawać się ponieść euforii. Tak, trzeba działać przytomnie i ostrożnie. Tak, każdy krok musi być odmierzony i obliczony. Ale: trzeba działać, iść naprzód, budować lepszą przyszłość. Inaczej — paraliż i śmierć. Wiedzą o tym naprawdę obie strony. Musimy wiedzieć i my.

Istnieją, jak nigdy przedtem, nowe perspektywy wyjścia z ruin i zgłiszcz powojennych. Istnieją szanse na nowy, zdrowy okres historii, budowany w odrzuceniu tego wszystkiego, co uczyniło tak niedawne lata dnem ludzkiego piekła. Mówią o tym przywódcy obu stron. Pragną tego narody, jednostki ludzkie, młode rodziny. Rozmiar takiego dzieła onieśmiela, trudność preraża; a jednak byłoby nieludzkie cofnąć się przed nim.

To, co już widzimy, wydawało się nierealne i niemożliwe jeszcze przedwczoraj. To, o czym się dziś rozmawia, było nie do pomyślenia, chociaż wszyscy wiedzieli, że jest niezbędne. To są znaki zmiany. To są drogowskazy dla wszystkich. Proces raz rozpoczęty trzeba podtrzymać i doprowadzić do konsekwentnego końca. Nie ma innej drogi. Choćby trudności i przeszkody były największe, nie

wolno się cofnąć. Jest to jasne dla każdego.

Ale właśnie trzeba znać i widzieć to, co stoi w drodze i przeszkadza. Nie wolno iść na ślepo i za tłumem, jak owce. Trzeba zdobyć się na poziom wysoki, by uniemożliwić wykrzywienie, zdezorientowanie nas przez tych, którzy chcą nas wykorzystać i zgubić. Trzeba myśleć. Trzeba, pomimo, że nam to tak bardzo odradza i tak bardzo zachęcają do działania „spontanicznego”, pod wpływem impulsu.

Wszakże pamiętamy, jak to jeszcze niedawno amerykański minister obiecywał, że odpowiedź na Afganistan znajdzie się w najczulszym miejscu Rosji, w Europie. Widzieliśmy ochocze chóry na „naszej niwie” zachęcające nas do „akcji” desperackiej i bezmyślnej. Dziś zaczynamy doceniać wartość tego, żeśmy nie ulegli tej prowokacji.

NIE LEKCEWAŻMY też i trudności. Ani też ich nie przeceńmy. Pamiętajmy, że spuścizna czasów stalinowsko-hitlerowskich jeszcze się nie skończyła i jeszcze trochę potrwa, zanim się skończy. Nie my jedni jesteśmy nią dotknięci. Nie my jedni pragniemy jej usunięcia.

Zdecydowała się z niej wydobyć i Rosja. Widzimy poważne, stanowcze kroki podejmowane dla zrationalizowania, sensownego ulepszenia skostniałego, pogrążonego w zastoju stanu tego kraju. Wiadomo, że jest to sprawa niełatwa. Możemy mieć różne wątpliwości co do skuteczności niektórych posunięć, możemy myśleć, że dużo więcej byłoby potrzebne. Nie należy jednak o tym przysądzać. Tylko oni sami mogą to u siebie zrobić. I tylko my sami możemy to zrobić u siebie.

U nich terrer przejmą nowi ludzie. Pomimo terroru i zastoju, stereotyp oficjalny nie zdołał zabić myśli i inicjatywy i widzimy odrodzenie, jakiego się nikt nie spodziewał. Jeżeli to było możliwe w ich warunkach, z pewnością jest możliwe i w naszych. Oczywiście u nich zaczęło się „od góry”. U nas, niestety, „góra” nie zdradza tego rodzaju objawów.

Nie jest to dziwne. Reżim zamknął drogę szerokiej reprezentacji poglądów i kierunków i sam nie jest w stanie teraz wybrać z trudności. Tak samo jest i w innych krajach satelickich. Nie pomaga to Rosji, dla której stabilizacja i satysfakcja społeczeństw tych krajów będzie się stawać coraz istotniejszą sprawą.

Nas jednak musi obchodzić to, żeby wyjść z nędzy i upadku. A także, żeby w nadchodzących zmianach na forum międzynarodowym uzyskać bezpieczne i mocne miejsce. Uważamy, że w tym nasze interesy mogą i powinny się dobrze zgadzać z rosyjskimi i sądzimy, że o tym chyba wiedzą i Rosjanie. Nie możemy jednak lekceważyć tego, co nas dotąd dzieliło i o czym bardzo dobrze pamiętają ci, którzy chcieliby jak największą wrogość pomiędzy Polską i Rosją.

Nie są to sprawy małe i wcale nie pomogłoby ich przemilczanie. Przeciwnie, od ich ludzkiego i właściwego załatwienia zależeć będzie przyszłość stosunków nie tylko pomiędzy Polską i Rosją ale i stosunek reszty krajów europejskich do Rosji. Jest to bowiem problem zaufania: czy polityka rosyjska odcina się od drapieżnej tradycji rozbiorów i zaborów, czy wkracza na drogi przyjaznego, pokojowego współżycia międzynarodowego. Polska ucierpiała od car-

skiej Rosji tak wiele, że trudno spodziewać się od Polaków przyjaznych uczuć w stosunku do niej. Stalin kontynuował w tym względzie politykę carów i jeszcze bardziej zantagonizował nasz naród. W chwili obecnej uczuciowe nastawienie przeciętnego Polaka nie może być inne, niż obawa i nieufność. Nie jest to dobry podkład pod takie wzajemne stosunki, jakich by sobie można życzyć.

W podobnej sytuacji znajduje się Rumunia. W jeszcze gorszej kraje bałtyckie. Mają powody do refleksji i Węgry, ma je też i Czechosłowacja. Naprawa tych spraw na pewno jest w interesie Rosji. Trudno jednak jeszcze dziś przewidzieć, w jakim stopniu dojrzeje tam zrozumienie tej prawdy. Patrząc na to uważnie Niemcy i obóz przeciwników Rosji i z pewnością nie zaniebają starań, by nie dopuścić do jakiegos polepszenia w tym problemie.

ODEJŚCIE od stylu i celów polityki Stalina nie jest sprawą łatwą. Nawet dla chcącego, a takim chce się deklarować Gorbaczow, praktyczne problemy mogą być bardzo trudne. Widzimy to na przykładzie Afganistanu, który stał się prawdziwą i bolesną pułapką, wykorzystywaną skrupulatnie przez przeciwników odprężenia. A tymczasem, żeby przekonać Zachód o pokojowych i przyjaznych intencjach Rosji — potrzeba śmiałych i niedwuznacznych czynów, przykładów, które zamknęłyby usta krytykom. Z pewnością rozumieją to nowi władcy Rosji. Ale od rozumienia do czynu czasem jeszcze daleko. Stąd szanse dla wpływów obozu „nowej Rewolucji”.

Politycy więc rosyjscy będą potrzebowali wiele umiejętności i śmiałości, by spełnić te zadania i obietnice, które dziś deklarują i które z pewnością są wyrazem ich interesu narodowego. Nie można liczyć na to, że im to Zachód zawsze będzie ułatwiał. Przeciwnie, wiadomo, że w tej sprawie jest on podzielony.

Obserwujemy wyraźny podział opinii komentatorów reformy rosyjskiej. Niektórzy widzą w niej zapowiedź bardzo obiecujących przemian i dowód dobrej woli i nawet geniuszu Gorbaczowa, inni starają się wynaleźć słabe punkty lub nawet dowody oszustwa. Jak dotąd, Gorbaczow zdaje się potwierdzać swoim postępowaniem szczerość swoich wypowiedzi i intencji. Jest to niewątpliwie duży sukces i coraz więcej głosów przechyla się na stronę przychylności dla niego. Wygląda to na niezwykle szybką karierę jako męża stanu i zarazem obowiązuje do utrzymania swojej dobrej sławy i renomy.

Widzimy, że przyspiesza on tempo rokowań rozbrojeniowych i przemian wewnętrznych. Trudności napotykane zwiększają jego doświadczenie i wciągają w środek pracy. Cele, jakie zakreśla i intencje jakie głosi czynią go politykiem zupełnie różnym od wzorów niedawnych i całkowicie oryginalnym. Sposób, w jaki to wszystko czyni jest popularny w najlepszym sensie. Pozwala to przypuszczać, że tym razem wysiłki pokojowe nie skończą się tradycyjnym fiaskiem.

=====

PAMIĘTAJ

O

PRENUMERACIE!

=====

STANISŁAW KOZANECKI

PRZEMIANY

POPRZEZ ponad dwadzieścia wieków basen Morza Śródziemnego był kolebką różnych cywilizacji (Mezopotamia, Kreta, Mała Azja, Palestyna, Egipt, Grecja i wreszcie Rzym).

Na początku XX-go wieku przez fakt wejścia Stanów Zjednoczonych w orbitę Wielkich tego świata, punkt ciężkości przeniósł się do basenu Oceanu Atlantyckiego.

Nie minęło pół wieku i punkt ciężkości, na naszych oczach, przenosi się coraz wyraźniej w rejon Oceanu Spokojnego. Zawrotny rozwój tak Japonii jak i zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych (Kalifornii), obudzenie się Chin, niespodziewany rozwój południowej Korei i Formozy (Taiwanu), potencjał ekonomiczny Hong-Kongu i Syngapur (już nie mówiąc o prawie nienaruszonym potencjale Australii i Indochin) — mówią same za siebie. Dzisiaj jest „bliżej” z St. Francisco do Tokio, aniżeli niecałe sto lat temu było z Rzymu do Kairu.

W tych wszystkich przemianach — i tu dochodzimy do celu dzisiejszych refleksji — trzeba podkreślić dwa zjawiska. Pierwsze: że jakość systemów politycznych, rola sił ekonomicznych i jakość kory mózgową cytowanych narodów są

czynnikami decydującymi tych przemian. Drugie: że rola Związku Sowieckiego w tych kapitalnych przemianach jest minimalna. Związek Sowiecki Republiki Rad, zajęty podbijaniem świata w dziedzinie ideologicznej nie doceniał zasadniczej sprawy: wagi chleba i wagi sprawiedliwości w stosunku do rządzących, co spowodowało znaczne zahamowanie procesów rozwojowych tak jednostek jak państw bloku sowieckiego. W dodatku Sowiety zrobiły drugi błąd, o skutkach również nieobliczalnych, mianowicie skierowały swój główny wysiłek na wzmocnienie swego potencjału wojskowego, a to kosztowało wszystkich innych dziedzin tak samo, jeśli nie bardziej ważnych dla normalnego rozwoju społeczeństw. Potęgą militarną nie wystarczą im, by wiecznie pozostawać drugą potęgą światową, z tej prostej przyczyny, że tymi broniąmi można straszyć, ale nie można ich na dużą skalę używać, bo ryzyko bumeranga jest zbyt duże.

Trzeba więc będzie Rosji Sowieckiej wejść i to jak najprędzej, na drogę przemian zarówno ekonomicznych jak społecznych, co siłą rzeczy — szczególnie w tym systemie — musi doprowadzić do zasadniczych przemian politycznych.

Innej drogi nie ma, jeśli „jutro” nie chce ona stać się krajem „trzeciego świata”.

Dla nas, tak w kraju jak w rozproszeniu, wniosek jest prosty: musimy być przygotowani na myślenie kategoriami ekonomicznymi, a tym samym porzucenie wizji poetyckich na wyrost, będących w niezgodzie z rzeczywistością. Musimy nastawić się na kształcenie elit, a to by poprawić jakość kory mózgową młodej generacji. Moralnie musimy odciąć się od truciizn tak cywilizacji Wschodu jak i materializmu Zachodu. Musi więc mieć miejsce nawrót do, źródła, do właściwej osnowy, że oczywiście nie wyklucza tępienia wad narodowych i rozwijania zalet. Musimy być świadomi niezwykle odpowiedzialności Polski jako wiązadła między Europą zachodnią i wschodnią. Jesteśmy świadomi potrzeby „Europy Ojczyzn” romańsko-germańsko-słowiańskiej, tej „trzeciej siły” między Ameryką i Azją, bez której równowaga globu — na dłuższy okres — jest po prostu niemożliwa. W takiej budowlu musimy współuczestniczyć.

Idzie nowe? Bez wątpienia.

Z nami czy bez nas?

Zależy to tylko od nas samych.

STEFAN MARCINKOWSKI

NOWY RZĄD KANCLERZA H. KOHLA

WYBORY do Bundestagu odbyły się 25.1.1987. Rokowania nad utworzeniem nowego rządu trwały 5 tygodni. W dniu 11.3.1987 nowy rząd otrzymał wotum zaufania w Bundestagu, w którym kanclerz H. Kohl w dniu 18.3.1987 wygłosił swoje exposé rządowe. Po czym odbyła się 3-dniowa dyskusja. Jak przedstawia się obecny stan rzeczy i czego można się spodziewać w 3-ciej kadencji rządów Kohla?

W rozmowach nad utworzeniem nowego rządu Fr. Strauss, przewodniczący bawarskiej partii CSU, przeprowadził jedną ważną dla siebie uchwałę. Odtąd istotne problemy polityki zagranicznej i obrony kraju muszą być omawiane i zadecydowane w gronie przewodniczących partii i frakcji parlamentarnych, wchodzących w skład koalicji rządowej, a więc z CDU-CSU-FDP. W rządzie niewiele jest zmian. Tylko 2 nowe twarze. K. Klein z CSU został ministrem ekonomicznej współpracy, J. Möllemann ministrem oświaty. Stracił swe stanowiska W. Dollinger, minister transportu i H. Windelen, minister do spraw wewnętrzno-niemieckich. Reprezentował on rewizjonistyczne poglądy Związku Wsiedlonych. Usunięcie Windelena należy przyjąć z zadowoleniem, choć pozostał jeszcze w rządzie rewizjonista Fr. Zimmermann, minister spraw wewnętrznych. Podczas głosowania nad wotum zaufania otrzymał kanclerz Kohl z 269 głosów koalicji rządowej tylko 253, czyli 16 posłów jego obozu nie poparło go. Ostatecznie tylko 4 głosami większości otrzymał nowy rząd wotum zaufania. Toteż przywódca opozycji H. Vogel z SPD nazwał ten wynik swego rodzaju klęską. Na to Strauss z CSU przypominał, że zdarzyło się to już raz uprzednio, gdy K. Adenauer w jednej ze swych kadencji został kanclerzem większością jednego głosu.

A oto kilka głosów prasy odnośnie nowego rządu. *Handelsblatt* z 12.3.87 rozważa: „Nowy rząd nie jest ani silniejszy, ani więcej efektywny od poprzedniego. Czas pokaże, czy nowa miotła naprawdę przeprowadzi czystkę, czy też wzniesi tylko tumany kurzu”. *Hannoversche Allegemeine Zeitung* z 14.3.87 pisze: „Polityczna przyszłość kanclerza będzie zależała od wielu rzeczy. Zaczyna on swój nowy okres stojąc na chwiejnej podstawie. Kanclerz uspakaja sam siebie nadzieją, że słabość opozycji pomoże mu przeżyć następne wybory do Bundestagu z tym, że obecny pomyślny rozwój gospodarczy potrwa dalej”. *Süddeutsche Zeitung* z 14.3.87 pyta: Jak winien być rząd Kohla się przedstawiać? I odpowiada: Powinien być więcej zorientowany na ochronę środowiska, więcej liberalny, więcej skłonny do détente, a także więcej dostosowany do problemów zaniedbanych w naszym społeczeństwie, czyli więcej uwagi poświęcić bezrobotnym i rolnikom... Największe szanse na sukces ma Kohl w dziedzinie polityki zagranicznej z pomocą Genschera. A tutaj pomagają mu już Honecker i Gorbaczow.”

Przed exposé rządowym odbył się 15.3.87 w Siegen zjazd Wolnych Demokratów. Tenże Genscher jako wice-kanclerz i minister spraw zagranicznych oświadczył: „Federalna Republika Niemiec winna być siłą napędową na Zachodzie, na rzecz poprawy stosunków ze Wschodem i popierać reformy zapoczątkowane przez Gorbaczowa. Poparcie to ma polegać na gospodarczej współpracy, poprzez pomoc w unowocześnieniu przemysłu Związku

Sowieckiego”. J. Genscher dodał: „Nasza partia (FDP) została powołana do realizowania powyższych celów, a nie po to, by zapewnić sobie wygodny kącik w t.zw. obozie mieszczańskim”. (*Abendpost* 20.3.1987).

Kanclerz Kohl wygłosił swe exposé rządowe w Bundestagu 18.3.87. Trwało 2½ godziny, po czym odbyła się 3-dniowa dyskusja. W sprawach polityki wewnętrznej podkreślił kanclerz problemy najważniejsze jak zwalczanie bezrobocia (około 10%) dokonanie zrozumiałej reformy podatkowej, ochrony środowiska. Wezwał obywateli do uświadomienia sobie rosnącej roli Niemiec w polityce międzynarodowej. Następnie podkreślił pełną współpracę ze Stanami Zjednoczonymi A.P., oparcie się o NATO i konieczność doprowadzenia do politycznej unii Europy Zachodniej i wspólnego rynku tejże Unii. Kolejno poruszył stosunek do państw Paktu Warszawskiego. Wymienił 3: Niemcy Wschodnie, Polskę i Związek Sowiecki. Odnośnie Niemiec Wschodnich Kohl jest za rozwojem wszechstronnych stosunków z nimi, ale zaznacza, że obowiązuje go Konstytucja, a chodzi tu o przywrócenie jedności Niemiec. Zdaniem kanclerza problem niemiecki jest nadal otwarty w znaczeniu prawnym, politycznym i historycznym.

Przyznaje, że całkowite jego rozwiązanie zależy od pełnego ułożenia stosunków Wschód-Zachód. O Polsce mówił Kohl krótko, nie wdając się w szczegóły.

Najdłużej mówił kanclerz o stosunkach ze Związkiem Sowieckim. Stwierdził, że stosunki te mają zasadnicze znaczenie dla RFN. Chodzi tu zwłaszcza o stosunki gospodarcze, a mianowicie o możliwość pomocy przy odbudowie gospodarki sowieckiej na której tak bardzo zależy Gorbaczowowi. Drugi problem w stosunkach ze ZSRR to rozbrojenie nuklearne, i tu Bonn jest za szybkim porozumieniem między USA i Sowieciami. Niemcy są za tym, by w tym roku odbyło się spotkanie na szczycie Reagan-Gorbaczow.

W dyskusji pierwszy zabrał głos Vogel, przewodniczący frakcji parlamentarnej SPD. Wytknął kanclerzowi, że mówi tylko ogólnikami. Przy omawianiu stosunków z Polską np. nie postawił kropki nad „i”, że granica na Odrze-Nysie Łużyckiej jest ostateczna, tak zresztą jak inne układy, zawarte z państwami Paktu Warszawskiego. Obowiązują one dziś i będą obowiązywały w razie zjednoczenia Niemiec. Odnośnie Niemiec Wschodnich brak też skonkretyzowanej polityki. Konkludując Vogel oświadczył: „W polityce zagranicznej przemawia się dwoma języ-

kami. Jednym przemawia Genscher w Bundestagu, drugim Strauss w Monachium”. Zieloni ostro krytykowali bodaj wszystkie dziedziny przemówienia kanclerza.

Niespodziewanie pod koniec debaty nastąpił interesujący zwrot. H. Ehmke, zastępca przewodniczącego frakcji parlamentarnej SPD wystąpił z propozycją, aby partię koalicji rządowej i Socjalni Demokraci opracowali wspólny program prowadzenia polityki zagranicznej. Uzasadnieniem tego ma być możliwość nowego dialogu Wschód-Zachód. Rząd ustami Genschera odniósł się pozytywnie do tego wniosku.

Ledwie zakończyła się dyskusja w Bundestagu, a tu niespodzianka. Dnia 23 marca ustąpił W. Brandt przewodniczący Socjalnych Demokratów, pełniący tę funkcję od r. 1964. Kierownictwo partii desygnowało na jego miejsce głosami 32 za, przy 2 sprzeciwach H.J. Vogla, przewodniczącego frakcji parlamentarnej SPD w Bundestagu. Zastępcą ma być O. Lafontaine, premier Saary. Ostateczna decyzja zapadnie 14 czerwca na specjalnym zjeździe partii.

Chicago Tribune z 5.4.1987 umieszcza artykuł pt. „Spokojnie 2 państwa niemieckie zbliżają się do siebie”, i wymienia wszystko, co świadczy o tym zbliżaniu, np. wzajemne odwiedzanie się obywa-

teli, a są to miliony osób; politycy spotykają się na targach w Lipsku, ponoszone są wspólne koszty różnych inwestycji jak budowa autostrady, czy linii kolejowej, łączących Berlin z Niemcami Zachodnimi, sztuki teatralne autorów z FRN są grane w Niemczech Wschodnich itd. itd. W związku z 750-leciem założenia Berlina odbyły się 30 kwietnia uroczystości w jego zachodniej części. Był na nich obecny prezydent FRN R. von Weizsäcker, kanclerz Kohl, a także zaproszony przez burmistrza miasta E. Diepge-na, przywódca Niemiec Wschodnich E. Honecker. Pewien niemiecki dyplomata powiedział, że jest to mara nocna. Bo jak tu zdecydować, kto będzie siedział obok kogo, jaki sztandar ma powiewać, jaki hymn ma być odegrany?

Skoro mówimy i tu o Straussie, to może słów kilka o jego niedawnym pomysle. Wystąpił on z wnioskiem, który poparło 65 posłów, o przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Związkowi Wsiedleńców, któremu przewodzi dr. H. Czaja i inny wielki działacz Śląski dr. H. Hupka. Związek ten jak wiadomo proponuje rewizję granicy z Polską i Czechosłowacją. Rzeczywiście fantastyczny pomysł. Polskie organizacje istniejące w Niemczech Zachodnich zaprotestowały przeciwko temu.

WACŁAW NETTER

KOŚCIÓŁ I INŻYNIERIA GENETYCZNA

W OSTATNICH latach badania biomedyczne i doświadczenia z ludzkim embrionem nabrały wielkiego rozmachu a ich wyniki w dziedzinie sztucznego zapłodnienia, zastępczego macierzyństwa, poczęć w probówce i inne osiągnięcia techniki genetycznej przedstawia się nam jako wielki dorobek nauki i medycyny.

Ale czy jest to rzeczywiście dorobek i czy można manipulowanie ludzkim życiem określać jako postęp? Czy jest to raczej objaw wejścia uczonych na niewłaściwą drogę, degeneracji sumień i umysłów. Te wszystkie „wielkie osiągnięcia” budzą grozę wśród zwykłych ludzi i obawy pojawienia się na ziemi różnych potworów w rodzaju mitologicznych chimery, pegazów i innych dziwolągów w postaci zwierząt z ludzką głową. W Wielkiej Brytanii wyhodowano już sztuczną mieszańkę pół ośa pół zebry a stąd już niedaleka droga do podobnych prób z ludźmi i zwierzętami.

Embrion ludzki stał się materiałem doświadczalnym, na którym przeprowadza się różne eksperymenty a następnie wyrzuca do śmietnika. W Ameryce powstały firmy zajmujące się handlem „resztkami ludzkimi” jak kawałki skóry, rozwijające się zarodki, tkanki innych części organizmu, z których wyrabia się później pożywki dla bakterii, kosmetyki i inne „produkty”. A to są przecież ludzkie komórki bądź też zaczątek człowieka.

Próby biomedyczne muszą być oceniane nie tylko z punktu widzenia technicznych manipulacji ale też od strony moralnej. Człowiek już w swoim zarodku posiada godność ludzką nadaną mu przez Stwórcę. Nauka musi mieć wielki szacunek dla podstawowych kryteriów moralności i ludzkiej godności.

Obrońcy inżynierii genetycznej twierdzą, iż prowadzą doświadczenia w imię postępu, w celu przyjęcia z pomocą małżeństwom, które nie

mogą mieć dzieci w sposób naturalny. Ale czy jest to rzeczywiście konieczne, gdy równocześnie zabija się miliony nienarodzonych dzieci? Małżeństwo nie nadaje małżonkom prawa płodzenia dzieci, lecz jedynie prawo do naturalnego aktu, którego owocem jest poczęcie potomstwa.

Ostatnie badania biomedyczne i próby z ludzkim embrionem były przedmiotem wielkiej troski Kościoła.

Po wyczerpującej dyskusji między episkopatami i biskupami wielu krajów, Kongregacja Nauki Wiary opracowała i wydała specjalną instrukcję zatytułowaną: „O szacunku dla rodzącego się życia i o godności jego przekazywania”. Dokument ten został podany do ogólnej wiadomości w Biurze Prasowym Stolicy Apostolskiej w czasie konferencji dla dziennikarzy, 10 marca b.r., której przewodniczył kard. Józef Ratzinger.

Wprowadzając 40 stronicową instrukcję kardynał stwierdził, iż zgodnie z Magisterium Kościoła jedynym moralnie przyjętym sposobem poczęcia życia jest droga naturalna a oddzielanie miłości od prokreacji jest grzechem.

Dokument papieski składa się z trzech części. Na jego wstępie jest mowa o tym dlaczego Kościół poczuł się zmuszony do zabrania głosu na ten temat i uznał za konieczne przedstawić własny punkt widzenia zgodny z Magisterium, oraz przypomnieć naukę moralną o godności ludzkiej osoby.

W części pierwszej Instrukcji podkreślony został szacunek należny embrionom ludzkim, który musi być traktowany jako osoba od momentu poczęcia. Doświadczenia dokonywane na embrionach, przenoszenie zarodka z łona jednej kobiety do drugiej, poczęcia w probówkach oraz inne zabiegi dokonywane w celach nie leczniczych są niegodziwe.

Część druga dokumentu zatytułowana „Interwencje w przeka-

zywanie życia ludzkiego” mówi o zapłodnieniach sztucznych dokonywanych różnymi sposobami i przypomina względy moralne interwencji lekarskiej w przekazywaniu życia. Doktor powinien pomagać małżonkom a nie zastępować rodziców i nie ma władzy decydowania o sposobach przekazywania życia innymi metodami niż sposobem naturalnym. Instrukcja wzywa lekarzy katolickich i służbę zdrowia do zachowania norm moralnych w swojej praktyce zawodowej.

Część trzecia traktuje o związkach jakie zachodzą między moralnością a prawem cywilnym. Władza państwowa jest zobowiązana zabezpieczać wspólne dobro obywateli, zapewnić im podstawowe warunki życia, podstawowe prawa oraz chronić od dyskryminacji. Do praw tych należy prawo do życia, do rodziny i wychowania dzieci. Państwo powinno bronić naturalnych sposobów przekazywania życia ludzkiego, oraz zakazać stosowania sztucznych zapłodnień i doświadczeń z ludzkim embrionem.

W części końcowej instrukcji „O szacunku do rodzącego się życia ludzkiego” mieści się apel do wszystkich ludzi, instytucji i władz o szacunek dla miłości i życia. Kongregacja Nauki Wiary zachęca teologów i moralistów, by lepiej poznali naukę Magisterium Kościoła i przekazywali ją wiernym.

Dokument Kongregacji przedstawia w sposób nie budzący wątpliwości pogląd Kościoła na to tak ważne zagadnienie i wskazuje właściwe drogi młodym małżeństwom, społeczeństwom, lekarzom, władzom państwowym i instytucjom w ramach ich odpowiedzialności za życie.

Doświadczenia z ludzkim embrionem, sztucznym zapłodnieniem i coraz to nowymi sposobami przekazywania życia, wywołały poważne zastrzeżenia nie tylko w Kościele, ale też wśród wielu uczonych, prawników, moralistów a nawet rządów.

W Stanach Zjednoczonych głosna stała się sprawa zastępczej matki, która urodziła dziecko dla innego małżeństwa. Podjęta się tego za opłatą, ale po przyjęciu na świat córeczki zmieniła zdanie i nie chciała jej oddać żonie, od której otrzymała pieniądze. Sprawa otarła się o sąd, który, nie mając odpowiednich przepisów, kierując się dobrem dziecka przyznaje jej parze małżeńskiej.

Ale czy było to sprawiedliwe orzeczenie? Czy można w ogóle rozsądzić do kogo ono właściwie należy? Kobieta która urodziła dziecko odwołała się do wyższej instancji. Nie wiemy jeszcze jak ta sprawa się skończy.

Rodzenie potomstwa przez jedną kobietę dla innej jest właściwie handlem żywym towarem. Każdy kto posiada pewną sumę gotówki może sobie kupić syna lub córkę. Na skutek takiego procederu wytworzy się klasa kobiet-hodowców. Będzie to swego rodzaju „dzierżawa” łona jednej kobiety na użytek innej.

Zachodzi też pytanie, czy osoba, która nie ma zamiaru wychowywać swego dziecka powinna dawać mu życie. Czy ma to być matka czy też maszyna do wytwarzania żywego „produktu”.

Instrukcja Kongregacji Nauki Wiary przyczyni się — miejmy nadzieję — do głębszego prze-myślenia całego zagadnienia pod kątem etyki i moralności. Na razie wywołała ożywioną dyskusję między obrońcami naturalnych sposobów przekazywania życia ludzkiego i zwolennikami stosowania inżynierii genetycznej, którzy uważają iż służą ludzkości a szczególnie małżeństwom które nie mogą mieć dzieci.

Wypowiedź Stolicy Apostolskiej jest niewątpliwie ostrzeżeniem na czasie przeciw dalszym próbom manipulowania ludzkim życiem i to na samym jego początku gdy jest ono niewinne, słabe i bezbronne.

BR. ADAMCZEWSKI

SPISEK NA DWORZE REAGANA II

JUŻ dawno nie odwiedzaliśmy wspólnie Waszyngtonu, a więc warto tam znów zajrzeć. * Tym więcej, że o ile przez pierwsze dwa lata po wyborach z listopada 1984 roku nie działało się tam nic nadzwyczajnego, o tyle pod koniec ubiegłego roku wyszły na jaw ciekawe, a nawet rewelacyjne wydarzenia. Rzucają one nowe światło na poczynania administracji Ronalda Reagana i znamienie rzutują na jej przyszłość.

Po druzgocącym zwycięstwie wyborczym nad swoim demokratycznym rywalem Walterem Mondalem, Reagan II początkowo panował sobie spokojnie. W Białym Domu otoczony był miłością żony i adoracją ze strony swoich przyjaciół. Nie dawał się w szczególności administracji powierzając je swoim najbliższym współpracownikom, a sam tylko nadawał jej ogólny kierunek i asygnował najważniejsze decyzje. Dla wypoczynku prezydent — mający już przecież 75 lat — większość weekendów spędzał w zaciszu Camp David, a często też wyjeżdżał na dłuższą swoją farmę w Kalifornii. Ulubioną tam jego rozrywką — jak za dawnych czasów kiedy występował w kowbojskich filmach w Hollywood — była jazda konno.

Popularność Reagana w społeczeństwie amerykańskim była wciąż ogromna, zdawało się niewzruszalna. Określano go jako „prezydenta z Teflonu”, którego nie ma się żadna krytyka. Środki masowego przekazu odnosiły się do niego z wielką rewerencją. Na konferencjach prasowych jednał sobie dziennikarzy — może nie zawsze wyczerpującymi, ale za to wygaszającymi z piękną dykcją, z przekonaniem odpowiadającymi; a w wystąpieniach telewizyjnych podbijał sobie widzów swoim niezaprzeczalnym wdziękiem.

W tej sytuacji Kongres nie wiele sprzeciwiał się prezydentowi. Jeśli nawet większość demokratyczna w Izbie Reprezentantów czasem ośmieliła się mieć inne zdanie, to parowała ją skutecznie większość republikańska w Senacie. Zdawało się, że cokolwiek Reagan zrobi, to publiczność będzie go oklaskiwać i po dwóch równie udanych kadencjach przejdzie on do historii jako jeden z największych prezydentów Ameryki.

Zmiany personalne

W drugiej kadencji nastąpiło pewne przetasowanie w najbliższym otoczeniu Reagana. Niektórzy członkowie gabinetu pozamieniali się po prostu funkcjami z osobistymi doradcami prezydenta. Dawny szef sztabu Reagana, Edward Meese III objął resort sprawiedliwości, a jego zastępca James Baker III resort finansów. Zaś dawny minister finansów, Donald Regan, zajął miejsce Meese'a. Zamiana ta nie była najlepsza bo, jak się okazało, Regan jako szef sztabu prezydenta nie potrafił kontrolować wszystkich poczynąń swoich podwładnych.

Stratą było też odejście specjalisty od reklamy Michaela Deavera, który odpowiedzialny był za reżyserię wszystkich publicznych wystąpień prezydenta. Deaver nie ukrywał, że nie satysfakcjonowała go gaża urzędnika i że chciał sobie więcej zarobić. Przeniósł się więc do waszyngtońskiego biura reklamy, zachowując jednak bliskie związki z Białym Domem, za co został wkrótce oskarżony o niezgodne z prawem używanie swoich znajomości w kołach rządowych.

Następca Deavera, Patrick Buchanan, nie był równie wydajny. Wyznawał bowiem zasadę: „aby Reagan był Reaganem”, zapominając że majestat prezydenta wymaga odpowiedniej oprawy. Reżyseria publicznych wystąpień Reagana zaczęła więc szwankować; coraz częściej rzecznicy Białego Domu czy Departamentu Stanu musieli wyjaśniać, co „naprawdę prezydent miał na myśli”. W dodatku Buchanan okazał się niewierny — jak tylko zrobiło się tam gorąco, to wyparował z Białego Domu.

Szczególnie duże zmiany personalne miały miejsce w gronie doradców Rady Bezpieczeństwa narodowego. Dawny bliski współpracownik Reagana z Kalifornii, William P. Clark — który rozbrajał sam się przyznawał, że nie zna się wiele na sprawach międzynaro-

dowych — nie utrzymał się długo jako Doradca do Spraw Bezpieczeństwa. Jego miejsce zajęli doradcy z wojska: najpierw pułkownik piechoty morskiej Robert McFarlane, a po nim Wice-Admirał John Pointdexter. A wśród niższych funkcjonariuszy zaczął się wybijać major (awansowany na tym stanowisku do podpułkownika) z „marines”, Oliver North.

Wkrótce te różne zmiany wzajemnie się ze sobą spłotyły. Niewzruszalna popularność prezydenta wzbudziła wśród pracowników Rady Bezpieczeństwa poczucie wielkiej pewności siebie, a nawet bezkarności. Sądziła ona, że cokolwiek nie zrobią — nawet jeśli byłoby to poczynanie ryzykowne, czy po prostu niezgodne z prawem — to i tak autorytet Reagana będzie ich chronił. Brak zaś nadzoru z góry poczucie to tylko wzmacniał. W dodatku jako wojskowi przyzwyczajeni byli do szukania sposobów doraźnych, a jeśli konieczne i drastycznych.

W tym klimacie powstał spisek przy boku prezydenta, zwany dziś aferą Iran-Kontra, a także Irangate (nawiązując do skandalu Watergate, który doprowadził w 1974 roku do upadku Richarda Nixona). W spisku tym uczestniczyli McFarlane i Pointdexter, ale główną jego postacią był ppłk North, który — tak przynajmniej twierdzą dziś czelowe postacie republikańskiej administracji — na własną rękę podejmował zasadnicze decyzje w amerykańskiej polityce zagranicznej.

Irangate

Spiskowcy z Białego Domu nie mieli oczywiście żadnych złych intencji w stosunku do prezydenta. Przeciwnie, byli mu w pełni oddani i chcieli tylko pomóc mu w realizacji jego celów. Wiedzieli jak bardzo Reagan przejęty jest atakami terrorystycznymi na Amerykanów; w odwecie za nie wiosną 1986 roku zbombardował nawet Libię. Sprawa zakładników w Libanie była jednak trudniejsza, bo w chaotycznej sytuacji w tym kraju użycie siły wojskowej nie byłoby skuteczne.

W tej sytuacji spiskowcy postanowili sięgnąć do pomocy Iranu, który posiadał znaczne wpływy wśród sekty szyitów w Libanie. Wiedząc jak bardzo Iranowi zależy na uzyskaniu nowoczesnych broni niezbędnych do prowadzenia wojny z Irakiem, ofiarowali się je dostarczyć w zamian za zwolnienie amerykańskich zakładników w Libanie. W maju 1986 roku McFarlane i North wybrali się osobiście jednym z samolotów wiozących broń do Teheranu.

Przedsięwzięcie to było wysoce ryzykowne. Dostarczenie broni Iranowi sprzeczne było bowiem z uchwałą Kongresu. Co więcej rokowania — nawet pośrednie — z terrorystami odbiegały zasadniczo od linii prezydenta, który wielokrotnie zarzekał się, że nigdy tego nie zrobi. Jako więc zasłoneżoną dymną McFarlane i North wymyślili, że celem ich rokowań nie było tylko ratowanie zakładników, ale ogólna poprawa stosunków z Iranem.

Tutaj jednak spiskowcy wpadli znów w inną pułapkę. Wkroczyli bowiem w dziedzinę podejmowania decyzji w polityce zagranicznej, która leży w gestii Departamentu Stanu. I to w sprawie wcale nie blajej. Amerykańska pomoc zbrojna dla Iranu bowiem mogłaby przechylić szalę na jego korzyść w wojnie z Irakiem (i zdaje się, że istotnie pomogła Iranczykom w ich ostatniej ofensywie). Zwycięstwo zaś Iranu nad Irakiem — tego zdania są przynajmniej kraje arabskie sprzymierzone z Ameryką — byłoby wątpliwym sukcesem dla USA na Bliskim Wschodzie.

Całą więc impreza była ściśle zakonspirowana. Nie był poinformowany o niej Kongres. A także Sekretarz Stanu, George Shultz i Sekretarz Obrony Narodowej, Caspar Weinberger — tak przynajmniej obaj twierdzą — nie wiele o niej wiedzieli. Jak dalece wciągnięty był w nią Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadu, William Casey, nie sposób jest stwierdzić, bo gdy cała afera wyszła na jaw to akurat poszedł do szpitala na operację mózgu i nadal tam przebywał. Prezydent początkowo nie był oczarowany tym pomysłem, ale dał się przekonać. McFarlane i North zabrali

nawet ze sobą do Teheranu egzemplarz Biblii osobiście dedykowany przez Reagana — chyba dla samego Ajatoli Chomeiniego.

Rokowania amerykańsko-irańskie szły jednak opornie. Zaledwie kilku amerykańskich zakładników zostało zwolnionych, a inni dalej byli więzieni. Iranczycy zdaje się też nie byli zadowoleni z przebiegu rozmów. Uważali, że nie otrzymują dosyć sprzętu i że ceny jego są wygórowane. W listopadzie 1986 roku ujawnili więc całą aferę, udostępniając informacje o niej libańskiemu tygodnikowi „Al-Shiraa” co naturalnie podchwyciła zaraz prasa światowa. Reagan potwierdził wówczas publicznie, że wiedział o kontaktach z Iranem. Przysnął się też, że ich aprobata była pomyłką z jego strony i obiecał wstrzymać dalsze dostawy broni.

Przy okazji wyszli jednak na jaw, że spisek nie ograniczał się tylko do kontaktów z Iranem. Spiskowcy bowiem postanowili równocześnie załatwić i inną sprawę, o której wiedzieli, że bardzo leży prezydentowi na sercu, a mianowicie udzielenie pomocy partyzantom, t.zw. Kontra, walczącym przeciwko marksistowskiemu reżimowi w Nikaragui. W 1986 roku Reagan wydebił wprawdzie od Kongresu 100 milionów dolarów na ten cel, ale przyszło mu to z oporami, a w międzyczasie powstańcy nie mogli się poszczycić żadnymi większymi sukcesami. Spiskowcy przy boku prezydenta postanowili więc, że pieniądze uzyskane ze sprzedaży broni dla Iranu (podobno około 30 milionów dolarów) będą przekazywać przez banki szwajcarskie na zakup broni dla Kontra.

Ta druga impreza była już całkowicie tajna. Stała bowiem w wyrażnej sprzeczności z prawem, które wymaga aby amerykańska pomoc wojskowa zagranicą była zatwierdzona przez Kongres. Zarówno więc prezydent jak i jego szef sztabu Regan, twierdzą, że nic o tym nie wiedzieli. Całą odpowiedzialność złożyli tu na Pointdexter i Northa, którzy zostali usunięci z ich stanowisk. Ci zaś, powołując się na piątą poprawkę do amerykańskiej konstytucji — która pozwala odmówić zeznań niekorzystnych dla danej osoby — uchylili się od udzielenia jakichkolwiek informacji.

Różnorodne dochodzenia

Dotąd więc właściwie nie wiadomo jest co naprawdę się stało. North przed swoim odejściem zdążył jeszcze zniszczyć szereg kluczowych dokumentów. A jako warunek ujawnienia prawdy zarówno on, jak i Pointdexter, żądają gwarancji, że za swoje czyny nie będą odpowiadać sądowo. Prezydent przywileju tego im nie udzielił i sprawa utknęła na martwym punkcie.

Nie znaczy to jednak wcale, że cała afera jest zakończona. Przeciwnie jest ona obecnie przedmiotem całego szeregu różnych dochodzeń. Nowy Doradca do Spraw Bezpieczeństwa, Frank Carlucci, podjął śledztwo na własną rękę, a także przeprowadził czystkę i reorganizację wśród grona swoich współpracowników. Prezydent zaś równolegle powołał specjalną komisję złożoną z wybitnych ekspertów spraw międzynarodowych, która ma przedłożyć mu rekomendacje dla usprawnienia tego zespołu. A także prezydent mianował znanego specjalistę od polityki zagranicznej, Davida Abshire, jako swojego doradcę, w randze członka gabinetu, do zbadania całej afery. Równocześnie Minister Sprawiedliwości powołał specjalnego sędziego do celu ustalenia, czy nie popełniono nadużyć prawnych.

Ważniejsze może nawet jest, że obie izby Kongresu wybrały specjalne komitety dla ustalenia prawdy o Irangate. Zdominowane przez Demokratów (którzy w wyborach w listopadzie ub. roku uzyskali również większość w Senacie), komitety te na pewno nie spoczną zanim nie dojdą do sedna sprawy. Stawiają one sobie trzy zadania. Po pierwsze, zbadać czy nie zostały popełnione nadużycia prawne; po drugie ustalić, w jaki sposób były podejmowane decyzje; i po trzecie ocenić, czy decyzje te były słuszne z punktu widzenia interesów amerykańskich. Będzie więc to wyczerpujące i długotrwałe — trwające na pewno szereg miesięcy — dochodzenie.

Cała więc afera na pewno nie przestanie być w centrum uwagi publiczności. W miarę jak będą ujawniane nowe szczegóły, środki masowego przekazu będą o nich donosić. Niezależnie od tego dziennikarze pasjonujący się t.zw. „śledczą żurnalistyką” będą skrzętnie zbierać fakty na własną rękę. Już w połowie stycznia poczytny *The New York Times Magazine* zajął się znajomościami ppłk. Northa. Okazuje się, że jedną z osób z którą North miał związki był Edwin Wilson, który dorobił się fortuny na handlu bronią. Sprzedawał on m.in. nielegalnie broń dla Libii, za co dostał wyrok 52 lat więzienia.

W miarę jak fakty będą wychodzić na powierzchnię, krąg osób zamieszanych w skandal irańsko-nikaraguański będzie na pewno się poszerzał. Oczywiście publiczność interesuje najwięcej kto z najbliższych współpracowników Reagana brał w tym udział. A już najsmakowitszym kąskiem jest tu osoba samego prezydenta i jego rola w tej aferze.

Poderwanie wiarygodności

Tak czy inaczej Irangate boleśnie uderzyła w Reagana. Jeśli okaże się, że jego rola była poważniejsza niż się do tego przynajmniej, to prezydent wyjdzie na kłamek. Znajdzie się wtedy w sytuacji podobnej do Nixona podczas Watergate. Ponieważ następne wybory prezydenckie będą miały miejsce jesienią 1988 roku, wątpliwe jest, aby w takiej sytuacji Kongres domagał się ustąpienia Reagana, ale jego skuteczność jako prezydenta będzie wówczas definitywnie skończona. A szanse demokratycznego kandydata znacznie wzrosną.

Jeśli jednak okaże się, że Reagan istotnie nic nie wiedział o powiązaniu Iran-Kontra, to też nie ustawia go w najlepszym świetle. Bo powstaje pytanie dlaczego prezydent nie kontrolował bardziej ściśle swoich najbliższych podwładnych — jak to się stało, że tak ważne decyzje podejmowane były przy jego boku i ponieważ w jego imieniu, ale bez jego wiedzy? I dlaczego wybrał sobie tak nieodpowiedzialnych współpracowników?

Nawet zanim na te pytania zostaną udzielone odpowiedzi, wiarygodność prezydenta i tak już została podważona. Jego popularność znacznie zmalała — blisko połowa Amerykanów sądzi, że Reagan nie mówi prawdy. Mit prezydenta z Teflonu runął. Widoczne to było na konferencji prasowej w listopadzie poświęconej Irangate, podczas której prezydent był wyraźnie zdenerwowany i płał się w odpowiedziach, podczas gdy dziennikarze nie szczędzili mu napastliwych pytań.

Reagan nie wypadł lepiej, kiedy w styczniu przedstawiał Kongresowi raport o „Stanie Unii” (który prasa złośliwie określiła jako raczej raport „O stanie prezydenta”). Biorąc pod uwagę, że parę tygodni przedtem przeszedł on operację prostaty, fizycznie prezydent prezentował się dobrze. Ale w swoim przemówieniu potrącił zaledwie o Irangate, potwierdzając, że zrobił pomyłkę w sprawie dostaw broni dla Iranu, ale nie sięgając do jej sedna. Nie rozproszyło to więc wątpliwości Amerykanów co do jego roli w tej aferze.

Ofiarą Irangate padł także Wice-Prezydent George Bush. Związany on był tak blisko z Reaganem, że spadek popularności prezydenta rzutuje niekorzystnie na szanse wyborcze Busha w 1988 roku. Sekretarz Stanu Shultz, który twierdził uparcie, że nic o tym wszystkim nie wiedział, też wyszedł osłabiony. Z jednej strony bowiem żarliwi republikanie (podobno z Nancy Reagan na czele) oburzeni są na niego, że odciął się w ten sposób od prezydenta. Z drugiej zaś podnoszone jest pytanie jak to się stało, że Sekretarz Stanu nie był konsultowany w tak ważkich decyzjach polityki zagranicznej, a decyzje za niego podejmował ppłk. North? W Waszyngtonie więc kursują pogłoski, że wiosną Shultz sam zrezygnuje i wróci na swoją katedrę na uniwersytecie w Stanford.

Afera Irangate uderzyła w najbardziej czuły punkt obecnej administracji. Jej głównym atutem bowiem był osobisty autorytet Reagana, który swoimi zręcznymi wystąpieniami podbijał sobie Amerykanów. Odwoływał się on do

wartości, które są im bliskie: patriotyzmu, pewności siebie, optymizmu, a także prawności. Obecnie apele te brzmią jak puste frazesy. Tak więc starając się wyrzucić reżim w Managua, ppłk. North poderwał tylko własny rząd.

Głębsze przyczyny

Straty jakie administracja Reagana poniosła przez Irangate nie ograniczają się jednak tylko do utraty wiarygodności, ale sięgają głębiej. Afera ta wydobyla na światło dzienne klimat panujący w najbliższym otoczeniu prezydenta: brak szerszego rozeznania spraw międzynarodowych, spojrzenie na nie pod jednym tylko kątem przerażające się w ciasny fanatyzm. A także bezwzględność w lansowaniu swoich celów, nawet jeśli wymagałoby to gwałcenia demokratycznych zasad, czy wprost bezprawia. Prasa amerykańska nie ukrywa więc, że obraz ten nie jest budujący.

Szczególnie mocno podkreślona została oczywiście negatywna rola doradców Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Zespół ten, który w swoim założeniu miał pełnić jedynie funkcje doradcze nagle wdał się w prowadzenie własnej (i to tajnej!) polityki zagranicznej. Funkcje te należą do Departamentu Stanu, czyli Centralnej Agencji Wywiadu, które są do tego uprawnione i pełnią je pod nadzorem nie tylko prezydenta, ale i Kongresu. Różnice między Doradcą do Spraw Bezpieczeństwa i Sekretarzem Stanu nie są oczywiście nowe — występowały one również w administracjach Nixona i Cartera — ale nigdy nie przybrały tak monstrualnych rozmiarów.

Wpływowy dziennik *The Washington Post* w artykule redakcyjnym z 16 grudnia wręcz określił administrację Reagana jako znajdującą się w rozkładzie. Poszczególne bowiem jej członki nie są ze sobą wzajemnie powiązane — nie reprezentują całości, ale działają na własną rękę. A w liście do redakcji *The New York Times* jakiś lekarz (widożenie specjalista od gerontologii) zauważył, że może nie jest aż tak źle, że może po prostu prezydent zatwierdził przekazywanie funduszy dla Kontra, ale później o tym zapomniał...

Szereg komentatorów poszło jeszcze dalej. Senior amerykańskich publicystów, James Reston, w swojej rubryce w *The New York Times* z 14 grudnia, stwierdził, że Irangate była symptomem głębszej słabości administracji Reagana. Wskazuje ona, że prezydent nie posiada żadnej szerszej i długofalowej wizji roli Ameryki w świecie, a w polityce zagranicznej kieruje się jedynie własnymi małostkami. A jego współpracowników interesuje wyłącznie to, co ukaże się w jutrzejszej prasie, czy też jaki będzie wynik następnych wyborów, ale nie to co będzie się działo w XXI wieku.

W artykule z *The Los Angeles Times* z 15 stycznia politolog z uniwersytetu Cornell, Theodore J. Lovi, rozwinął tę myśl. Stwierdził, że w amerykańskim systemie politycznym tkwi zasadniczy błąd, który zmusza prezydenta — aby on sam, albo jego partia, wygrała następne wybory — do szukania taniej popularności. Pozorne efekty, w polityce zagranicznej, jak np. zwolnienie zakładników, stanowią tu szczególnie widoczne pole do działania.

Lovi przyznaje, że większość powojennych amerykańskich prezydentów nie umiała oprzeć się tej pokusie. Ale zdaniem jego pójście po tej drodze przez Reagana było specjalnie wiarołomne. Ponieważ jako ultra-konserwatyista Reagan doszedł do władzy krytykując nadmierną władzę rządu. A tymczasem sam użył autorytetu prezydenta dla szukania tanich efektów, które wydawało mu się że przypadną do gustu Amerykanom.

Prawie wszyscy komentatorzy są też zgodni, że bezpośrednie skutki Irangate są dokładnie odwrotne od tych, jakie miała osiągnąć. W początkach tego roku, zachęceniu widocznie światową uwagę, terroryści w Libanie nie tylko nie zaprzestali, ale wyraźnie wzmoogli swoją działalność. W odpowiedzi amerykańskie okręty wojenne pojawiły się w pobliżu tego kraju. Ale wiedząc, że

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

MAREK PRZEWOSKI

NA DAWNYCH WARSZAWSKICH PRZEDMIEŚCIACH

W ZWIĄZKU z przewidzianą na trzy lata (1985-1988) rekonstrukcją czy raczej budową od nowa Mostu Poniatowskiego w Warszawie, prasa przypomina czasy jego budowy w pierwszych latach naszego stulecia. Przypomina także krytyczne głosy prasy ówczesnej, która kwestionowała celowość tej inwestycji gdyż wznoszony w Warszawie „Trzeci Most” nie trafiał w żadną strefę zurbanizowaną tylko w dziką nadwiślańską kępę. Dziś jego otoczenie na prawym, tj. praskim brzegu Wisły, stanowi centrum dwumilionowego miasta. Przed osiemdziesięciu czy stu laty było dzikim, niezorganizowanym przedmieściem, a zmiany krajobrazu tej okolicy wyznaczały wylewy Wisły, która tutaj, w okresie wiosennych powodzi, osiągała niekiedy szerokość do 4 km. Zalewy sięgały więc aż po zabudowę na osi ówczesnej szosy brzeskiej czyli dzisiejszej ul. Grochowskiej po Goławek. W związku z wylewami Wisły nie było tu więc trwałej zabudowy w okolicach dzisiejszego Stadionu Dziesięciolecia, Parku Skaryszewskiego, Saskiej Kępy czy łąk pomiędzy Kamionkiem, Grochowem, Goławkiem i Saską Kępą. Nie budowano tu domów i nie uprawiano ziemi. Na tych rozległych błoniach praskich, kamionkowskich, grochowskich i goławskich pasiono bydlę i zbierano siano. Częściowo środkiem tych

rozległych łąk, kęp i mokradeł płynęło boczne koryto Wisły, którego pozostałością jest dziś niewielkie jezioro Goławskie w pobliżu rozwidlenia dzisiejszej trasy łazienkowskiej w ul. Ostrobramską, jezioro Kamionkowskie, kanał i podmokłe łąki między tymi jeziorami a ujściu tej łąchy do Wisły pokrywało się z basenami dzisiejszego portu praskiego przy ul. Zamoyskiego. U schyłku ubiegłego stulecia można więc było przepłynąć łódką z jeziora Kamionkowskiego do Wisły.

Jeziora i mokradła Kamionka, Saskiej Kępy, Goławia i Goławka obfitowały w ryby toteż stanowiły dodatkowe źródło wyżywienia ubogich mieszkańców Pragi i Kamionka. Dla miejscowej dzieciarni stanowiły także niemałą atrakcję jako bliski teren codziennych zabaw.

W roku 1864 na Kamionku, stanowiącym wówczas ubogie przedmieście nie mniej ubogiej Pragi, urodził się Roman Dmowski. Ojciec jego, szlacheckiego zresztą pochodzenia podobnie jak i matka, był brukarzem, ale widocznie wówczas rzemieślnikom nie wiodło się tak dobrze jak dzisiaj, skoro dla utrzymania wieloosobowej rodziny nie wystarczało środków uzyskiwanych za ciężki kamieniarski trud. Koniec końców, że musiał się imać jeszcze dodatkowego zajęcia. W

NADEŚLANE Z KRAJU

pewnym okresie swego życia zajął się dodatkowo rybołówstwem dzierżawiąc jezioro Kamionkowskie i Goławskie.

Mokradła, łąki i wydmy Saskiej Kępy i Kamionka były więc w życiu młodego Romana jakby „krajem lat dziecięcych”. Ale były dla niego jeszcze czymś więcej, były czymś w rodzaju ekologicznego siedliska.

Z życiorysu jego wiemy, że już w wieku 5 lat nauczył się czytać i lubił już tak wcześniej ślezczyć nad książkami. Widząc to ojciec z uwagi na jego zdrowie, które w młodości nie domagało, zabierał chłopcu książki i wyganiał go na powietrze, na łąki, kępy i mokradła dzisiejszego Parku Skaryszewskiego, praskich błoni przy Stadionie Dziesięciolecia czy porośniętej wierzbami, topolami i białodrzwami a niezabudowanej Saskiej Kępy.

Zmuszony niemalże przez ojca do zabawy w tych chaszczach z dziećmi praskiej i kamionkowej biedoty kilkuletni Roman regenerował swoje zdrowie w tym nieskażonym jeszcze wówczas przez człowieka naturalnym środowisku. Było to więc w jego życiu swoiste sanatorium.

Później, około 1910 r., gdy Roman już tu nie mieszkał, jego

ekologicznym środowiskiem stała się cała Polska. W związku z budową Mostu Poniatowskiego wiele się tu zmieniło. Nad Wisłą zbudowano wał przeciwpowodziowy. Zasypano połączenie jeziora Kamionkowskiego z portem praskim. Wytoczono i na grobli zbudowano ul. Zieleniecką podobnie jak Al. Waszyngtona jako arterię stanowiącą przedłużenie Mostu Poniatowskiego w kierunku Grochowa. Ziemia na Saskiej Kępie poszła w cenę w związku z dużym ruchem budowlanym, jaki rozpoczęła budowa „Trzeciego Mostu”. Między Saską Kępą a Kamionkiem urządzono Park Skaryszewski, zwany w okresie międzywojennym Parkiem Paderewskiego.

Przyszły wreszcie trudne powojenne lata. Gdy w więzieniach Polski Ludowej tracili wówczas zdrowie, a często też i życie liczni uczniowie Dmowskiego, pomiędzy ul. Zieleniecką i Wisłą zbudowano w latach 1953-1955 z rozmachem okazały Stadion Dziesięciolecia, który już od lat świeci pustką i niszczy z braku gospodarza. Ale wówczas gdy go budowano z myślą o światowym festiwalu młodzieży przewidzianym na rok 1955, ateistyczna propaganda okresu stalinowskiego zdawała się być w swoim apogeum. Któż mógł wówczas przypuszczać, że na tej budowli wznoszonej przez młodzież w rytmie masowych pieśni, w imię kolektywu masy i klasy — stanie kiedyś ogromny biały krzyż, że polski Papież odprawi na tej budowlu socjalizmu Najświętszą Ofiarę i że z ust ponad miliona zgromadzonych na tych praskich błoniach wiernych popłynie hymn „Boże coś Polskę”.

A od zbudowania stadionu minęło zaledwie 28 lat... Nieprzewidziane są wyroki Boże. Dla tego, kto widział to miejsce w lipcu 1955 r. a potem w czerwcu 1983 r. to co niemożliwe stało się możliwe... Wielka to lekcja nadziei...

Na Kamionek chodzimy najczęściej około 9 sierpnia, aby w Kościele pw. Matki Boskiej Zwycięskiej Mszą świętą uczcić pamięć Romana Dmowskiego z okazji kolejnej rocznicy jego urodzin. Czujemy się tam, w tej pięknej świątyni, jak u siebie... Gościnny proboszcz, ks. biskup Zbigniew Kruszczyński zawsze znajdzie jakieś mocne słowa, gdy w okolicznościach homilii podnosi zasługi zmarłego przed prawie pół wiekiem Solenizanta. Niezapomniane są też chwile, gdy po zakończonym nabożeństwie, w tym przykościelnym parku, który jest dawnym cmentarzem, możemy sobie uściśnąć dłonie, sędziwy weteran i dwudziestoletni student. Wtedy sobie uświadomiamy, że ruch nasz żyje, że czas jego bynajmniej nie minął...

Dzisiejsze Powązki to prawie centrum rozbudowanej na czterdzieści kilometrów wzdłuż Wisły i na trzydzieści kilometrów wszerz Warszawy. W skali stolicy, a chyba i całego kraju, ten dwustuletni już cmentarz stanowi największą i niezwykłą galerię dzieł sztuki, pomników, rzeźb i nagrobków, wspaniałych obiektów twórczości artystycznej kilku pokoleń rzeźbiarzy. Gdy zaborca dławiał rozwój polskiej kultury, gdy uzyskanie zgody na budowę pomnika bywało rzadkim aktem generalubernatorskiej łaski, rzeźbiarze „przenieśli się” na Powązki. Cmentarne mury ciągle rozszerzają się nekrofili, stały się ich naturalną galerią...

Ale my mamy swoje „własne” Powązki, swoje szlaki historycznych rozmyślań. Przed pierwszą wojną światową cmentarz leżał poza administracyjnymi granicami ówczesnej Warszawy, na przedmieściu.

Gdy 15 marca 1908 r. składano tu ziemskie prochy Jana Ludwika Popławskiego, można śmiało powiedzieć, że w tym wielkim kondukcie uczestniczyła cała Polska. Uczestniczyli ludzie wszystkich stanów i mieszkańcy różnych ziem ciągle jeszcze w sercach żywej dawnej Rzeczypospolitej. Był to swoisty paradoks, że hołd temu cichemu i mało znanemu za życia człowiekowi oddawali spontanicznie prawie wszyscy, także i polityczni przeciwnicy. Zmarły był bowiem postacią wybitną i gdyby go postawić w panteonie narodowych wieszczów i najwybitniejszych Polaków to nie byłoby w tym żadnej przesady. Jego żmudna praca w przeoraniu ugoru polskiej myśli politycznej, w stworzeniu od podstaw polskiej publicystyki, w pchnięciu myśli polskiej na całkowicie nowe tory stawiają jego osobę w szeregu olbrzymów naszej narodowej szeroko rozumianej kultury.

Gdybyśmy chcieli mówić o naszym narodowym geniuszu, o najlepszych z najlepszych, o takiego szeregu umysłowych olbrzymów trudno sobie jakoś wyobrazić bez J. L. Popławskiego.

Gdy wiadomość o śmierci Popławskiego ukazała się w warszawskich, krakowskich czy lwowskich gazetach nawet jego przeciwnicy uświadomili sobie, że z tą chwilą polska myśl i kultura, poniosły wielką niepowetowaną stratę. A jakże boleśnie tę stratę musiał odczuć Roman Dmowski, który Popławskiego uważał za swego największego przyjaciela i nauczyciela zarazem.

W ciągu 200 lat Cmentarz Powązkowski rozrósł się z 4 do 43 ha. Popławskiego pochowano w kwaterze nr 176, która mieści się jeszcze w tej najstarszej czterohektarowej części cmentarza. Jej położenie stanowi dla nas powód do zadowolenia, że łatwo i niedaleko można ją znaleźć od Kościoła św. Karola Boromeusza czy od głównej bramy św. Honoraty, ale też i powód do dumy, że nasz nauczyciel spoczywa w tej najstarszej, najbardziej historycznej a więc i bardziej reprezentacyjnej części cmentarza o kilkadziesiąt kroków od katakumb.

Przychodzimy na jego skromny grób w różnych porach roku indywidualnie i zbiorowo z okazji różnych rocznic ważnych w dziejach ruchu narodowego.

I tu, przy tym grobie, czujemy się jak u siebie i na krótkie chwile zatracamy poczucie czasowego dystansu, że to już prawie 80 lat minęło jak odprowadzili go tutaj nasi poprzednicy.

Myśli nasze biegają w kierunku rocznicy. Wszak to już za kilkanaście miesięcy, w marcu 1988 r. minie 80 rocznica jego śmierci. Najwyższy to czas ocalić od zapomnienia tę niezwykłą postać, której koncepcje realizują częściowo inni nie należący do przyjaciół obozu narodowego.

Inną, ważną dla ruchu narodowego rocznicę przeżyliśmy w październiku 1986 r. Wszak to w tym miesiącu minęła setna rocznica początków wielkiej publicystyki Popławskiego w „Głosie”. Choć ten pisarz swoją dziennikarską działalność rozpoczął jeszcze o kilka lat wcześniej w „Prawdzie” u Świętochowskiego i choć tamta jego

(DOKOŃCZENIE NA STR. 8)

SPISEK NA DWORZE REAGANA II

wszelki atak byłby bezskuteczny — amerykańscy zakładnicy pierwsi padliby jego ofiarą — po paru dniach odpłynęły. Zaś propozycja Amerykanów do zwołania specjalnego międzynarodowego spotkania poświęconego zagadnieniu terroryzmu została odrzucona przez Zachodnich Europejczyków. Po tajnych konszachtach ppłk. Northa z Iranem autorytet Stanów Zjednoczonych w tej dziedzinie widocznie nie jest wysoki.

Przyszłość polityki zagranicznej

W tej sytuacji powstaje pytanie, czy przez ostatnie dwa lata administracji Reagana Ameryka w ogóle będzie w stanie prowadzić skuteczną politykę zagraniczną? Czy prezydent będzie miał dosyć energii, aby skoordynować znów jej różne człony i dosyć wyobraźni, aby wyjść z nowym programem? A przede wszystkim czy poświęci on dosyć uwagi najważniejszemu przecież problemowi U.S.A., a mianowicie stosunkom z Z.S.S.R.?

W swojej drugiej kadencji Reagan stosował swoje dawniejsze, skrajnie anty-sowieckie stanowisko. Jesienią 1985 roku spotkał się z Michaiłem Gorbaczowem w Genewie, gdzie dwaj przywódcy rozstali się ciepło, obiecując sobie wymianę wizyt w Waszyngtonie i w Moskwie. W rok zaś później spotkali się ponownie w Reykjavíku, gdzie omal nie osiągnęli porozumienia w sprawie redukcji ofensywnych broni nuklearnych. Sprawa rozbiliła się o amerykańską Inicjatywę Obrony Strategicznej (w skrócie zwaną SDI, także: Wojny Gwiezdne), zmierzające do instalacji systemu chroniącego U.S.A. przed atakiem nuklearnym, czemu Z.S.S.R. stanowczo się sprzeciwia.***

Rokowania między dwoma supermocarstwami w Genewie zmierzające do ograniczenia zbrojeń jądrowych nie zostały jednak przerwane. A nawet wydaje się, że ostatnio szanse ich powodzenia trochę wzrosły. Symbolicznie obie strony podwyższyły rangę swoich genewskich przedstawicieli. Co ważniejsze, Sowieci zmodyfikowali nieco swoje stanowisko w sprawie amerykańskich broni defensywnych. Dyrektor moskiewskiego Instytutu Badań Kosmicznych, Roald Sagdiejew, oświadczył, że próby SDI są dopuszczalne — co było głównym punktem sporu w Reykjavíku — tak długo jak system ten nie będzie zastosowany w praktyce.

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 5)

Ze strony amerykańskiej zaś były doradca Jimmy Cartera od spraw ograniczenia zbrojeń, Paul Warnke, zajął podobne stanowisko. Uważa on także, że próby broni defensywnych mogą być dopuszczalne, natomiast za cenę ich nie rozmieszczenia, Amerykanie mogą uzyskać od Sowieców daleko idące ustępstwa w redukcji broni ofensywnych. Warnke, zaapelował więc do Prezydenta Reagana do pójsia po tej drodze.

Sprawa ta obecnie waży się w Waszyngtonie. Z jednej strony szereg obserwatorów uważa, że nie tylko ograniczenie, ale — po raz pierwszy w historii — zmniejszenie nuklearnych arsenałów obu supermocarstw byłoby wielkim osiągnięciem Reagana. Pomógłby mu to odwrócić uwagę amerykańskiej publiczności od afery Irangate. A prezydent powinien być tym wcale zainteresowany.

Ale z drugiej strony wielu komentatorów sądzi, że Reagan nie ma już dosyć czasu na osiągnięcie ugody w sprawie nuklearnego rozbrojenia z Gorbaczowem. Kadencja prezydenta wygasa bowiem w początku 1989 roku, a za rok będzie już na dobre rozwinięta w Stanach Zjednoczonych nowa kampania wyborcza. Wówczas Reagan będzie przysłówiową „kulawą kaczka”, z którą nikt się nie liczy. A w dodatku nowe rewelacje z Irangate mogą jeszcze więcej osłabić jego autorytet.

Co więcej, prezydent jest pod silną presją ze strony ultra-konserwatystów w partii republikańskiej, którzy nie tylko nie chcą ugody z Sowiecami w sprawie ograniczenia nuklearnych broni ofensywnych, ale także nalegają na jak najszybsze rozmieszczenie broni defensywnych. Sekretarz Obrony Narodowej Weinberger oświadczył ostatnio, że jeśli nawet system SDI będzie tylko częściowo sprawdzony, to powinien jak najszybciej zostać wprowadzony w życie. Celem Weinbergera zdaje się być zainicjowanie tego procesu jeszcze za kadencji Reagana, tak aby jego następcy nie mogli już go odwrócić.

Prezydent chyba przychylił się raczej do tego drugiego stanowiska. Po pierwsze jest on żarliwym wyznawcą SDI. Wierzy, choć większość specjalistów uważa to za mrzonkę, że system ten zapewni Stanom Zjednoczonym hermetyczną obronę przed atakiem

nuklearnym. Po drugie, układ o ograniczeniu zbrojeń nuklearnych między U.S.A. a Z.S.S.R. wymagałby z jego strony wiele intelektualnego wysiłku, a nie jest wcale pewne, czy jest on jeszcze do tego zdolny. Reagan nigdy nie był znawcą arkanów strategii nuklearnej — ewidentnie pogubił się w nich w Reykjavíku i a bez wprowadzenia szczegółów, układ między dwoma supermocarstwami nie byłby wiele wart.

Trudna posada

W najbliższym już więc czasie — jeszcze przed końcem 1987 roku — będziemy wiedzieli, jaką drogą pójdzie amerykańska polityka zagraniczna. W tym systemie demokratycznym, ale nie pozbawionym pewnych cech monarchii (bo opartym przecież na XVIII-to wiecznej Wielkiej Brytanii), rola prezydenta będzie tu kluczowa.

Posada w Białym Domu nie jest łatwa. Nie jest to tylko, jak to wydawało się Reaganowi — a o czym boleśnie się przekonał kiedy wybuchła afery Irangate — zaszczyt i gra. Wymaga od prezydenta wiele wysiłku, wyobraźni, a nade wszystko prawości. Inaczej kadencja jego musi skończyć się porażką. Już Abraham Lincoln stwierdził: „Można czasem oszukać wszystkich ludzi, można nawet stale oszukiwać niektórych ludzi, ale nie można oszukiwać wszystkich stale”.

Od czasów Dwighta D. Eisenhowera — a więc już od 1960 roku — wszyscy amerykańscy prezydenci odeszli tragicznie. John F. Kennedy został zamordowany. London B. Johnson nie stanął ponownie do wyborów, bo po wciągnięciu się w wojnę w Wietnamie wiedział, że ich nie wygra. Richard M. Nixon został zmuszony do rezygnacji. Gerald R. Ford przegrał wybory w 1976 roku, a James Carter III w 1980 roku. A teraz Ronald W. Reagan zdaje się wstąpił w ślady swoich poprzedników.

BR. ADAMCZEWSKI

* Dla przypomnienia czytelnikom nawiązuję tu do dwóch moich artykułów zamieszczonych na tych łamach: „Najgorszy przeciwnik Ameryki” z grudnia 1984 roku i „Spory na dworze Reagana I” z marca 1985.

** Lovi nawiązuję tu też, choć nie bezpośrednio do głównego wątku książki: „Największy przeciwnik Ameryki”, którą omawiałem w 1984 roku.

*** Koncepcję amerykańskiej Inicjatywy Obrony Strategicznej omawiałem w artykule „Wojny gwiazdowe” w lecie 1985 roku.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

DEZORIENTACJA

W KWIETNIOWYM numerze *Myśli Polskiej* ukazał się obszerny artykuł pióra „Przewoskiego” (pisać w cudzysłowie, bo nazwisko takie istnieć nie może) pt. „Reorientacja?”. Ponieważ wiem, że treść jego nie może być wyrazem poglądów redakcji, przypuszczam, że umieszczenie tego artykułu miało na celu sprowokowanie dyskusji i dlatego zabieram głos.

Autor artykułu przywiązuje wielką wagę do wizyty gen. Jaruzelskiego w Rzymie i pisze, że „była też spotkaniem głowy katolickiego narodu z politycznym kierownictwem innego katolickiego narodu”. Nieuważny czytelnik może w pierwszej chwili myśleć, że mowa tu o papieżu. Ale nie, „głowa katolickiego narodu” to pierwszy sekretarz partii komunistycznej w Polsce. Po czym następuje raczej zdumiewająca informacja, że „obydwa katolickie narody nie dysponują katolickimi rządami”. Jeżeli Włochy czym dysponują w nadmiarze, to katolickimi rządami. Było ich ponad czterdzieści, albo złożonych tylko z członków włoskiej partii chrześcijańsko-demokratycznej albo koalicyjnych, zawsze z udziałem decydującym Chrz. Dem. I w tej chwili premierem jest „chadek”.

Takie fałszywe symetrie ustawia autor i dalej. Jego zdaniem Europa „od Atlantyku po Ural” rządzona jest „przez siły niekatolickie”. W rzeczywistości siły katolickie mają przeważny wpływ nie tylko we Włoszech Fanfaniego ale także we Francji Chiraca czy Niemczech Kohla. Jak można to zestawiać z Rosją Gorbaczowa?

Fałszywe analogie idą dalej. Czytamy o „udziale narodów podzielonej Europy w dwóch różnych i obcych im zaprzęgach”. O zaprzęgu można mówić tylko na wschód od Łaby, bo tam narody zostały siłą wprężnięte w system imperialny sowiecki. Nie może być mowy o zaprzęgu gdzie jest dobrowolny sojusz z udziałem w decyzjach. Nie słyszeliśmy, by spadochroniarze amerykańscy wylądowali w Paryżu, gdy Francja wycofała swe wojska spod komendy sojuszu atlantyckiego ani o czołgach amerykańskich w Atenach, gdy to samo zrobiła Grecja. Niechby próbowała czegoś podobnego „głowa katolickiego narodu”!

Autor bierze poważnie tezy propagandy reżimowej. I tak pisze „włoska decyzja otwarcia się na Polskę, wbrew polityce Reagana”. Na czym to otwarcie ma polegać, nie wiadomo. A co ma z tym wspólnego Reagan? Chyba cieszyłby się z każdego „otwarcia” zachodnio-europejskiego na wschodnią Europę, bo oznaczałoby przeciwdziałanie wpływom sowieckim. Widzi też autor „proces zbliżenia polsko-japońskiego”. W przeciwnieństwie do tego „rozwód Japonii z amerykańskim systemem gospodarczym wydaje się już kwestią niezbyt odległego czasu”. Co się komu wydaje, to wydaje, a tymczasem Japończycy inwestują coraz więcej w Stanach Zjednoczonych, budują tam filie swego przemysłu i wiedzą, że bez wymiany z Ameryką skazani by byli na upadek gospodarczy”.

Japonia, zdaniem autora „wydaje

się zmierzać do utworzenia własnego światowego systemu politycznego”. W rzeczywistości Japonia jest mocarstwem tylko gospodarczo, bezpieczeństwa szuka w swojej bezbronności, napotyka na nienawiść sąsiadów: Chin, Korei, Filipin. Ale pojęcia mocarstwowości „Przewoskiego” są niezwykle. Twierdzi, że Indonezja jest „demograficznym mocarstwem”. Największym „demograficznym mocarstwem” świata w zeszłym wieku były Chiny a nie miały nawet niepodległości, podzielone na strefy wpływów między państwa europejskie.

Amerykę traktuje „Przewoski” z taką niechęcią jakby to amerykańskie dywizje stały pod Legnicą i amerykańscy generałowie przyjeżdżali na inspekcję do Warszawy. „W konfrontacji na froncie masmediów — pisze — Gorbaczow góruje nad aktorem Reaganem. Ten ostatni chyba się wyprzyłkał na frazeologii praw człowieka podczas licznych w jego kadencji showów telewizyjnych. Jego repertuar jest dziś ubogi: stawia na wyścig zbrojeń...”

Reaganowi w Ameryce nikt nie wypomina aktorstwa. Był aktorem, przedtem dziennikarzem, potem działaczem związkowym, był przez dwie kadencje gubernatorem największego stanu amerykańskiego. Jest prezydentem niewątpliwie poważniejszym niż jego dwaj poprzednicy. Czy i Karolowi Wojtyła wypominać mamy aktorstwo?

Prawa człowieka nie są frazeologią ale ideologią narodową amerykańską. Można się do niej odnosić

krytycznie, ale nie sposób zaprzeczyć, że Amerykanie traktują ten ideał poważnie. Zrobili u siebie przed ćwierć wiekiem coś w rodzaju rewolucji społecznej w sprawie murzyńskiej. W ostatnich dziesięcioleciach propagują czynnie i skutecznie prawa człowieka w zasięgu swoich wpływów. Autor artykułu wymienia Brazylię i Argentynę jako kraje „które uszczuplają amerykańską sferę wpływów w tym rejonie” (zapewne w Ameryce Południowej). Otóż właśnie Brazylia i Argentyna należą do tych państw, w których pod wpływem amerykańskim w ostatnich latach usunięto rządy wojskowych, wstrzymano terror policyjny, a nowe rządy cywilne sadzą na ławie oskarżonych oficerów, którzy łamali prawa człowieka.

Co zaś do stawiania na wyścig zbrojeń, to jeszcze dobrze nie przyscha farba drukarska na artykule „Przewoskiego”, a już nie ma Reagana-Warmongera tylko jest Reagan-Peacemaker.

Nie bardzo wiem co autor rozumie przez „show”. Reaganowi zarzucano, że mało urząda konferencji prasowych a Show było jedno, okrzykane przez propagandę reżimową — o „Solidarności”.

O Gorbaczowie autor ma własne ciekawe informacje. „Przyszłość swego kraju widzi Gorbaczow coraz bardziej w Azji”. To widzenie Gorbaczow starannie ukrywa przed światem z wyjątkiem chciejskich Polaków. Motyw tego widzi autor artykułu w geopolityce, bowiem w Azji „Kraj Rad graniczy z trzema

mocarstwami podczas gdy w Europie tylko z blokiem jednego z nich”. W rzeczywistości „Kraj Rad” graniczy w Azji z Chinami, Persją i Afganistanem. Tylko Chiny można uważać za mocarstwo. Afganistanu jakoś autor nie wspomina nigdzie. W Europie „Kraj Rad” graniczy z Rumunią, Węgrami, Czechosłowacją i Polską. Autor widocznie jednak uważa Polskę za część „Kraju Rad”, skoro mówi o jakimś bloku(?) innego mocarstwa.

Nawet meteorologiczne poglądy autora są fantazyjne. Powiada, że w pierwszym miesiącu 1987 r. „ostre mrozy i śnieg sparaliżowały życie wielu krajów podzielonej Europy a także chyba i Ameryki Północnej”. Chyba nie. W Ameryce styczeń nie był szczególnie zimny a i w zachodniej Europie życie nie zostało sparaliżowane. Jest to wyraźne szukanie sobie kolegi. A tymczasem katastrofa naprawdę była tylko w Polsce, dzięki ustrojowi.

Ale co do Polski autor jest optymistą. Pisze, że Polska odczuwa już brak siły roboczej. W rzeczywistości Polska odczuwa brak wykwalifikowanych pracowników w niektórych działach, ale ma nadmiar rąk roboczych, wielomilionowe ukryte bezrobocie, będące jednym z największych ciężarów gospodarki. „Przewoski” widzi tylko brak chęci do pracy i do płodzenia dzieci. „Kto pokona te dwie nasze narodowe bariery — pisze — ten będzie mógł być spokojny o przyszłość Polski”. Pracujcie, mnożcie się a dobry car Michaił zapewni wam spokojną Przyszłość. Spasibo!

W RADZIE KONSULTACYJNEJ I SEJMIE

WBREW niektórym pierwotnym przypuszczeniom ogłoszono w Polsce stenogramy z pierwszych dwóch posiedzeń Rady Konsultacyjnej. Ukazały się one pod koniec marca br. w periodyku „Rada Narodowa” nr 1 i nr 2. Dotąd otrzymaliśmy jedynie numer pierwszy, z którego warto zacytować urywki przemówienia Władysława Siły-Nowickiego. Zwróciło ono największą uwagę i wielu mówców potem do niego nawiązywało.

Mecenas Siła-Nowicki wspominał o zasadzie wojskowej, według której do zwycięstwa potrzebne są zaplecze, amunicja, zaopatrzenie itp., a przede wszystkim żołnierz chcący się bić — po czym dodał:

Ja zabierałem głos może dlatego odważnie i czynię militarne porównania w obecności Pana Przewodniczącego Rady Państwa, który jest generałem armii, że jestem oficerem pod jednym względem górującym nad nim, mianowicie datą nominacji oficerskiej, którą mam dawniejszą niż Pan Przewodniczący.

W dalszym ciągu mówca podkreślił, że i my musimy mieć żołnierza, który chce się bić, a więc społeczeństwo porozumienia narodowego, po czym powiedział:

Dlatego tu przyszedłem, że jestem zawsze rzecznikiem porozumienia narodowego i uważam je za absolutną konieczność i dla władzy, i dla społeczeństwa. Czego oczekuje społeczeństwo przede wszystkim? Przywrócenia podmiotowości, rozszerzenia zakresu wolności, rozszerzenia demokracji. To jest rzecz oczywista. I dlatego, jeżeli my mamy mówić o siłach aktualnie czynnych społecznie, o siłach realnych, to mnie dziwi, że tu przemawiało przed mną 15 znakomitych mówców, wybitnych przedstawicieli społeczeństwa i z ust żadnego z piętnastu mówców nie padło słowo „Solidarność” i ani razu nie został poruszony problem solidarności, problem rozmaitości ruchu związkowego, pluralizmu związkowego. Nikt o tym nie powiedział. Czy to zagadnienie naprawdę w Polsce nie istnieje? Czy możemy przechodzić nad tym do porządku dziennego i sądzić, że ono

zostało zlikwidowane, jeżeli chcemy patrzeć realnie, jeżeli chcemy dążyć do tego, żeby całe społeczeństwo pobudzić do wspólnego działania, żeby osiągnąć porozumienie narodowe, rzeczywiste, żeby osiągnąć tego żołnierza, który chce się bić w trudnej sytuacji, bez którego nie wygramy, jeżeli tego nie osiągniemy.

Mecenas Siła-Nowicki poruszył także sprawę Kościoła oraz różnych ruchów ideowych istniejących w społeczeństwie:

Ja pamiętam, proszę Państwa, jak w 1945 roku mówiono, że Kościół niezależny od państwa w ustroju autorytarnego socjalizmu, to mrzonka i bzdura; że taki Kościół nie istnieje w żadnym kraju naszego obozu. I nie istnieje. Tylko istnieje w Polsce. Ale nie tylko istnieje w Polsce, lecz teraz państwo — które pogodziło się z niezależnością Kościoła — i Kościół potrafią znakomicie współdziałać, osiągać wspólne cele.

Tak samo tutaj u nas rozszerzenie zakresu wolności jest rzeczą niezbędną i niezbędne jest przypomnienie sobie o tych ruchach ideowych, które tak czy inaczej się przekształciły i nie wrócą zapewne w tej formie, w jakiej były, ale w jakiejś formie wrócą.

Generał Jaruzelski w drugim przemówieniu odpowiedział następnie na sprawy poruszone przez mówców. Przemówienie to pełne było cytatów z poezji polskiej, a Siła-Nowickiomi powiedział m.in.: że wprowadzenie nominację oficerską otrzymał później niż on, bo w 1943 r., to jednak jest ona wystarczająco dawna jak na jedno życie ludzkie. Gen. Jaruzelski podkreślił jako niezwykle ważną sprawę, problem zagrożenia państwowości:

Tak zwany instynkt państwowy nie jest najmocniej ugruntowany w naszym społeczeństwie. Złożyły się na to oczywiście i historyczne uwarunkowania. Instynkt państwowego nie można społeczeństwu narzucać. Musi się on wykształcać w długim procesie uświadamiania pojęć: jakie państwo musi być, dlaczego potrzebne jest państwo silne, skuteczne w swych funkcjach, bardziej nowoczesne i demokratyczne.

Ktoś z Państwa użył sformułowania

„geopolityka”. Słowo to, jak wiadomo, ma niedobry, pseudonaukowy rodowód. Rozumiem jednak, że chodziło o nasze uytuowanie geograficzne.

Oczywiście trzeba by zawsze mieć w polu widzenia. Nie jesteśmy samotną wyspą. Nie ma dzisiaj na świecie krajów, wyłącznie z mocarstwami, które mogłyby nie liczyć się z innymi państwami, z ich interesami. Świat pod tym względem jest połączony, współzależny, nawet wzajemnie sprzężony.

My tutaj, na tej sali, podchodzimy do tego wielkiego problemu na pewno w sposób zróżnicowany. Jedni obok racji państwowych, kierują się motywami ideologicznymi, inni tylko „geopolityczną” racją. Nie powinno to nam jednak przeszkodzić w rozumieniu nadrzędnych interesów Polski, jej pozycji i jej suwerenności.

Przechodząc do sprawy współdziałania państwa i Kościoła, gen. Jaruzelski zwrócił uwagę na zachodzące zmiany we wzajemnych stosunkach:

Obserwujemy wyraźny postęp w koncepcjach politycznych Watykanu (...)

Jakże wiele zmieniło się od tych niezbyt odległych czasów. Komuniści także zmienili wiele swych poglądów i praktyk w stosunkach państwo-Kościół.

Uczy historia, a odwołajmy się choćby do dziejów Rewolucji Francuskiej, że sprawy stawiane kiedyś na ostrzu noża, potrafią w końcu znaleźć inne, kompromisowe rozwiązania.

Polska może być w tym względzie krajem modelowym, w którym można sprawdzić, niejako wyeksperymentować, na ile ten kompromis między socjalistycznym państwem i Kościołem może być realny i owocny. Ale jednocześnie będzie to także sprawdzian tzw. polityki wschodniej, umiejętności adaptacyjnych Kościoła rzymskokatolickiego.

Na pierwszym posiedzeniu Rady Konsultacyjnej poruszono przede wszystkim zagadnienia merytoryczne. Jednakże na drugim posiedzeniu — jak nam donoszą z kraju — poruszono wiele problemów kontrowersyjnych. Tymczasem w obecnym Sejmie nie ma właściwie nikogo, kto mógłby albo

chciał poruszać takie sprawy. Wyjątek stanowi poseł Ryszard Bender, profesor KUL'u, który w swych sejmowych przemówieniach, tu i tam, wspomina o problemach nurtujących społeczeństwo.

Na szesnastym posiedzeniu Sejmu obecnej kadencji powiedział on między innymi:

Na wsparcie gospodarki inicjatywą prywatną nie mamy odwagi się zdecydować. A przecież nie jest to odstępstwo ideologiczne. W okresie PKWN i grubo później zapewniano naród, że gospodarkę będą kształtować trzy równorzędne sektory: państwowy, spółdzielczy i prywatny. Jakżeśmy daleko od tych zapewnień odeszli! Czy z pożytkiem tylko? W NRD obecnie stawia się wyraźnie na małą i średnią wytwórczość prywatną. Istnieją tam, jak przeczytałem w prasie, 2283 prywatne masarnie, a w nich zatrudnia się 17634 osoby. A u nas ile takich prywatnych masarni istnieje? Lepiej nie wiedzieć.

Poseł Bender przedstawił również swe nastawienie do Rady Konsultacyjnej:

Marzymy, znaczna przynajmniej część naszego społeczeństwa marzy, o dalszej demokratyzacji życia społecznego i politycznego w Polsce. Powołanie Rady Konsultacyjnej o tym jeszcze nie świadczy. Jej praca, jej działalność może natomiast służyć takiemu procesowi. Stanie się to wtedy, gdy formułować ona będzie wnioski ułatwiające władzy powiększanie w naszym kraju zakresu podmiotowości naszego społeczeństwa, wszystkim jego grup. Uzasadnione to będzie od inicjatywy, od siły argumentów członków Rady. Należy wierzyć, że tak sprawy się potoczą. Ta Rada może zyskać na trwałe prawo obywatelstwa w naszym politycznym systemie, mimo że w kraju na orbicie życia społecznego pojawiło się wiele różnych rad, nazbyt wiele. Od niej to zależy.

W tym samym przemówieniu prof. Bender mówił też o stosunkach Kościół-państwo:

Słowa Pana Premiera z dzisiejszego exposé, mówiące o pragnieniu rządu

układania stosunków Kościół-państwo na jak najlepszej płaszczyźnie, cieszą i napawają optymizmem. Musimy zrozumieć, że o postęp na drodze porozumienia nie jest łatwo. Występują różnice, które dzielą Polaków. Nie są one błahie. Dotyczą istotnych spraw: sposobu rządzenia, stosunków między władzą i społeczeństwem, pluralizmu związkowego i politycznego, spraw religii i ateizmu, który zbyt często wspierany jest silnym ramieniem władzy świeckiej. To ostatnie zjawisko zapewne sprawia, że znowu wzmożyły się ingerencje cenzury w pismach kościelnych. Przed kilku laty cenzurowano z rozmachem wypowiedzi Prymasa Polski i Papieża, Papieża-Polaka. Teraz to się powtarza.

Na następnym posiedzeniu Sejmu, siedemnastym, Ryszard Bender poruszył sprawę stosunków PRL-NRD i niebezpiecznych tendencji jakie pojawiają się w Niemczech Wschodnich:

„Polacy, my wszyscy jesteśmy społeczeństwem, które potrafi akceptować to wszystko co wzniosłe, co postępowe, co rzeczywiście służy pokojowi, niezależnie od tego, czy pojawia się ze Wschodu, z Zachodu czy z innego kierunku. Wielką szansą dla nas była i jest polityka zagraniczna NRD, państwa, które granicę na Odrze i Nysie uznało bez najmniejszych zastrzeżeń. Spaja to dobrosąsiedzkie stosunki, sprzyja pokojowi w Europie i w świecie. Nie służy temu natomiast pojawianie się w NRD, coraz częściej, prac historycznych gloryfikujących postaci, które spruszczały Niemcy, które występowały przeciw prawu Polski do niepodległego bytu. Autorzy tych prac o Fryderyku II, o Bismarcku, nie pomagają dalszemu zbliżaniu naszych narodów. Nie sądzę, żeby dla nich, jak niegdyś w XIX wieku dla Heinricha Treitschkego, idealna Europa to była Europa dwóch stolic, Berlina i Petersburga, bez Warszawy. Co z tego wynika, pokazała już I wojna światowa. A II też coś dopowiedziała.

Wystąpienie to jest znamienne na tle propagandy reżimowej, która woli mówić o rewizjonizmie zachodnio-niemieckim.

Co inni piszą...

KWARTALNIK wiedeński-paryski *Znaki Czasu* (nr 4) zamieścił studium, którego autorem jest Marek Jurek, znany naszym Czytelnikom z przedruków, jakie swego czasu zamieściła „Myśl Polska”. Studium to pt. „Realizm polityki i realizm narodu”, napisane na marginesie książek Andrzeja Micewskiego stanowi swego rodzaju syntetyczną ocenę katolicyzmu w Polsce w okresie powojennym.

Autor na wstępie pisze o opcjach wobec których stanęli Polacy z chwilą objęcia rządów przez komunistów w 1945 r. Jedni nie wierzyli w trwałość tej władzy, drudzy wierzyli w możliwość istnienia opozycji, a inni znowu uważali za główny problem, jak zachować narodową tożsamość i ratować wartości najistotniejsze w warunkach „realnego socjalizmu”. Ci, którzy wśród katolików byli przekonani o trwałości sytuacji politycznej a chcieli uczestniczyć w jawnym życiu kraju, czy przez wywieranie wpływu, czy też przez kształtowanie opinii publicznej musieli rozważać możliwości kolejnych ustępstw. Podjęli oni dwie różne pod każdym niemal względem próby.

Jedną — Bolesław Piasecki. Przyswierała mu idea przekonania partii do koncepcji „wieloswiatopoglądowości”, która — jak pisze Marek Jurek — w praktyce oznaczała miała współrządy dwóch partii socjalistycznych, marksistowskiej i katolickiej. Ostatecznym celem twórcy PAX'u miała być „chrystianizacja socjalizmu”, a więc uzyskanie przewagi przez komunistów katolików. Ostatecznie jednak PAX zeszedł na manowce.

Drugą próbę podjęło środowisko *Tygodnika Powszechnego* a potem *Znak*. Był to swego rodzaju „minimalizm katolicki”, czyli rezygnacja z własnego programu społecznego, a skoncentrowanie się rozwoju niezależnej kultury katolickiej i na zagadnieniach ściśle religijnych.

Autor artykułu pisze:

Punkty wyjścia środowisk PAX-u i *Znaku* zawierały więc zarówno różnice, jak i podobieństwa. Zgodne w uznaniu potrzeby adaptacji do nowych warunków, różniły się bardzo w motywach. „Dziś i Jutro” ustosunkowując się do swojej przeszłości z czasów „Falangi” przedstawiło trzy elementy tradycji środowiska, które uznano za cenne i aktualne: „rewolucyjna postawa wobec rzeczywistości”, radykalizm społeczny, katolicyzm. Dwa pierwsze sprzyjały ogólnej adaptacji zmian dokonujących się w Polsce. „Tygodnik” inaczej, najbliższy tradycji przedwojennego „Odrodzenia”, nie związany z żadnym z masowych ruchów społecznych, strzegł autonomii ideowej i politycznej swego środowiska, starając się zachować możliwość wypowiedzi niezależnie od losów politycznej opozycji. Oba środowiska podejmowały jeszcze w tym

okresie wspólne działania, takie jak oświadczenie z 20 listopada 1946 r. o potrzebie kompromisu Kościoła i rządu czy adres do Papieża w sprawie moralnych praw Polski do Ziemi Zachodnich z 1 marca 1948 r. Stanowisko pisma krakowskiego było w tej kwestii inne niż „Tygodnika Warszawskiego”, redagowanego przez przedwojennych chrześcijańskich demokratów i narodowców, który już w latach czterdziestych podważał katolicki charakter programu „Dziś i Jutro”.

Po Październiku grupa *Znak* weszła do Sejmu i środowisko to nabrało charakteru bardziej politycznego ze swymi koncepcjami geopolityki (uznanie status quo) i neopozytywizmu (praca organiczna). Z odwołaniem jednak od Października doszło do gestów bardziej opozycyjnych i w końcu do likwidacji koła poselskiego.

Charakteryzując dalej środowisko *Tygodnika Powszechnego* autor podkreśla, że jego naczelny przedstawiciel, Jerzy Turowicz przeciwstawiał dominującemu w przedwojennym katolicyzmie nurtowi „nacjonalistycznemu” — katolicyzm „francuski” dążący do odnowy religijności przez pogłębienie wiary indywidualnej, katolicyzm otwarty na dialog z laickim humanizmem i Kościół cichej pracy, a nie odwołujący się do szerokich dążeń społecznych i narodowych. Czytamy:

Niechęć do religijności masowej, tzw. katolicyzmu politycznego, wynikała w znacznej mierze ze stosunku publicystów „Tygodnika” do kierunku ideowego dominującego wśród katolików w przedwojennej Polsce. Niestety, oceny Narodowej Demokracji na łamach „Tygodnika” nie zawsze były głębokie, a często po prostu niesprawiedliwe. Pomijano ogromne zasługi tego obozu dla Polski i nie zauważono, iż towarzyszące mu zjawiska negatywne były w znacznej mierze rezultatami rozmiarów ruchu i skomplikowanej natury problemów społecznych, które podejmował, a dla których nikt nie miał łatwych rozwiązań, a nie (przynajmniej — nie tylko) wpływu założeń ideowych. Zatrzymuję się nad tym i dlatego, że retrospektywnie polemiki „Tygodnika” z polskim nacjonalizmem były, niestety, monologiem, w którym druga strona musiała milczeć, czasami nawet wtedy, gdy chciała odpowiadać.

Na ocenę tzw. katolicyzmu społecznego czy politycznego przez *Tygodnik Powszechny* wpływ wywarł również Jacques Maritain, który przewidywał syntezę humanizmu chrześcijańskiego średniowiecza i nowożytnego humanizmu laickiego. Jednakże — jak zauważa Marek Jurek — taka ewolucja mogła prowadzić do przeoczenia faktu, że współczesne prądy laickie są nie tylko reakcją na historyczne błędy

Kościół, ale także często wyrazem po prostu opozycji wobec chrześcijaństwa. Równocześnie — autor podkreśla w innym miejscu — Francja, której katolicyzm przybrał kształty takie właśnie, jakie propagowało w Polsce środowisko *Tygodnika Powszechnego*, stała się krajem misyjnym.

Z kolei autor przedstawia stanowisko Prymasa Wyszyńskiego, który nie wahał się łączyć religii i spraw narodowych. Obok obrony niezależności Kościoła i podstawowych swobód niezbędnych dla duszpasterskiej pracy Kościoła, drugim wymogiem sytuacji dla niego była obrona tożsamości narodowej. Marek Jurek pisze:

Kardynał Wyszyński pracę Kościoła w warunkach rządów komunistycznych oprzeć chciał na jego więzi z ludem. Stąd brał się szacunek Prymasa dla tradycyjnej religijności, różnych form paraliurgii, widzenia losów osobistych i zbiorowych w perspektywie religijnej. Jednocześnie krytycznie Prymas odnosił się do niektórych tendencji elitarystycznych w Kościele. Uważał, że prasa katolicka w sytuacji ograniczenia wolności słowa i publikacji powinna starać się wyrażać kierunek pracy całego Kościoła, a nie inicjować polemiki na temat radykalnej przebudowy polskiej religijności, gdy brak warunków dla swobodnej dyskusji na te tematy.

Była to wyraźna krytyka pod adresem środowiska *Tygodnika Powszechnego*.

W stosunku do władzy kardynał Wyszyński, nawet w momentach napięcia, zachowywał postawę realistyczną i otwartą. Brał pod uwagę położenie drugiej strony, raczej napominał niż potępiał. Brał też pod uwagę wymogi racji stanu Polski jako państwa. Kończąc autor stwierdza:

W sytuacji Polski rządzonej przez komunistów najlepszą polityką było formowanie postaw społecznych, budowanie więzi zbiorowych, obrona autonomii życia społecznego, skoro na instytucje państwa społeczeństwo bezpośredniego wpływu mieć nie mogło. Trwałość czynnika społecznego okazała się najsukcesyjniejszym środkiem nacisku na zmianę kształtu państwa. Prymas nie musiał odnosić swoich planów do sztucznych koncepcji politycznych, ponieważ dysponował poparciem społeczeństwa, którego siłą była wierność tradycji i więzi z Kościołem.

I można powiedzieć, że klimat ideowy lat 80-tych został w dużej mierze ukształtowany przez Prymasa Wyszyńskiego.

W tym samym numerze *Znaków Czasu* (nr 4) — niech mi będzie wolno dodać z zadowoleniem jako entuzjastycznemu claudeliście — znajduje się piękne tłumaczenie wyznania Paul Claudela pt. „Moje nawrócenie”. Przetłumaczył Paweł Hertz, który również dodał osobno swe „Kilka myśli na marginesie „Mojego nawrócenia” Claudela”. Drobny, ale cenny przyczynek do znajomości poety francuskiego, tak zapoznanego przez Polaków, mimo że w twórczości Claudela Polska często się pojawia.

Znany felietonista *Tygodnika Powszechnego* (nr 6), Kisiel pisząc pt. „Słonie a polskie sprawy” wspomina, że przygotowuje książkową wyprawę swych felietonów i równocześnie dzieli się uwagami na temat poglądów innych ludzi oraz własnych, które uległy pewnym zmianom. Kisiel pisze:

Nie stać nas również na to, aby we własnych sprawach narodowego bytu lub niebytu kierować się hasłami czy ideologiami rzekomo uniwersalnymi, wynikłymi, jak się sądzi, z moralno-ideowych praw rozwoju świata. Nikt w istocie nie zna stopnia obiektywistycznego waloru tych praw czy ideałów, takich jak „postęp”, „wolność”, „humanizm”, „demokracja”, „równość”, „socjalizm”, „sprawiedliwość”, „pacyfizm”, którymi nieopatrznie, jako pewniakami, upajali się nieraz niektórzy moi przyjaciele z opozycji, odrywając się od ziemi i szybką w przestworza marzeń. Nie sposób w naszym miejscu i z naszymi zasobami kusić się o weryfikację ideowych pewników świata — są sytuacje, gdy pewnik jest tylko jeden: nie dać się zdeptać przez słonie.

Kisiel przestrzega przed używaniem „uniwersalistycznej” argumentacji i odgrywaniem roli samotnych szermierzy marzeń”. Zaleca natomiast utrwalenie się na sporo lat jako państwa między Bugiem a Odrą.

Z kolei Kisiel pisze:

Czy to wszystko jest moralne, czy to wszystko jest wznieście, to, co ja tu proponuję? Ha, trzeba by na nowo przeczytać książeczkę Balickiego „Egoizm narodowy wobec etyki”, może w nowych czasach zagra i ona po nowemu? Można by się też spytać panów Halla, Wiernego, Jurka. Ja też przed laty, obawiając się zbytnej przyziemności i bezideowości realizmu, wymyślałem dla narodu różne próbne gatunki ideologicznego opium, np. Polska jako pośrednik między Wschodem a Zachodem, Polska katolickim emisariuszem w świecie materialistycznym, Polska terenem spotkania dwóch wiar etc. Teraz odpadło to wszystko ode mnie na rzecz tezy, że tylko wysiłek materialno-cywilizacyjny może być naszym drogowskazem i legitymacją we współczesnym świecie. Ale czy ideolodzy ustąpią? I to ideolodzy wszelkich kierunków?

Ciekawe, co na te wywody Kisiela odpowiedziałby na przykład Bohdan Cywiński? W swej książce pt. „Rodowody niepokornych”, wznowionej niedawno na Zachodzie, rozprawia się on z „egoizmem narodowym”, a Dmowskiemu zarzuca niechęć do uniwersalizmu i brak ogólnoludzkiego humanizmu.

W londyńskim *Dzienniku Polskim* (nr 41) Teresa Affeltowicz, omawiając oblicze podziemnego życia politycznego w Polsce na podstawie różnych wydawnictw, napisała:

Zespoły ludzkie grupujące się przy czasopiśmie *Polityka Polska* i *Res Publika* są uważane za ugodowe.

Z taką obcesową i nieprawdziwą opinią rozprawił się w tymże *Dzienniku* (nr 53) Wacław Netter:

Nie wiem na jakiej podstawie doszła autorka do takich wniosków i czy uczyniła to z braku informacji, czy też całkiem świadomie. Pierwsza możliwość jest raczej trudna do przyjęcia, gdyż *Polityka Polska* wychodzi w drugim obiegu w Londynie i jest dostępna w polskich księgarniach.

W dalszym ciągu Netter podkreśla, że zespół *Polityki Polskiej* daleki jest od ugodowości:

Przeczytałem dokładnie wypowiedzi zawarte w numerach dotychczas wydanych. Nie znalazłem ani jednego zdania, które zalecałoby ugodę. Przyklejanie zespołowi *Polityki Polskiej* nalepki „ugodowcy” jest nieuczciwe i krzywdzące. (...) Program głoszony przez *Politykę Polską* jest jak najbardziej daleki od tego. Przeciwnie szpalta pisma tchną krytyką i nieufnością do partii, rządu i władz bezpieczeństwa. *Polityka Polska* jest pismem Ruchu Młodej Polski, wywodzącego się z gdańskiego Bratniaka. Grupa ta odegrała zasadniczą rolę w organizowaniu najpierw zakazanych przez władze obchodów 3 maja i 11 listopada oraz rocznic masakra robotników przez milicję, a następnie w utworzeniu Niezależnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Wykonała też większość prac drukarskich dla „Solidarności”, między innymi 21 postulatów pod adresem rządu, oraz różnych biuletynów i ulotek informujących Wybrzeże i cały Kraj o sytuacji w Trójmieście.

Z kolei autor charakteryzuje oblicze ideowe *Polityki Polskiej* znane naszym Czytelnikom z przedruków zamieszczanych w *Myśli Polskiej*, a przede wszystkim z lektury samego czasopisma.

W Stanach Zjednoczonych sąd skazał na dożywotne więzienie Jonathana Pollarda za szpiegostwo na rzecz Izraela. Jest on obywatelem amerykańskim pochodzenia żydowskiego, a pracował jako urzędnik cywilny dla amerykańskiej marynarki wojennej. Sprawa ta spowodowała sporo komentarzy nie tylko w Ameryce i Izraelu ale także w Anglii. W londyńskim *Timesie* (nr

62715) pisze o niej na szerszym tle David Watt, znany publicysta, były dyrektor Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (Chatham House).

Na wstępie podkreśla on, że afera ta wywołała oburzenie ze strony m.in. ministra obrony Caspera Weinbergera. Tymczasem minister izraelski Ariel Sharon oświadczył, że jest to wszystko winą Ameryki, ponieważ nie dostarczała Izraelowi tyle informacji, ile powinna była, a wtedy nie potrzeba było szpiegować. David Watt pisze dalej:

Mamy tutaj przykład klasycznego konfliktu stanowisk. Z jednej strony Weinberger i Schultz reprezentują przyjęte zwyczajowo postulaty państwa. Ma ono prawo do ochrony własnych interesów i tajemnic, a równocześnie obywateli jego mają podstawowe obowiązki wobec swego państwa (...). W przeciwnieństwie do tego znajduje się skrajne stanowisko syjonistyczne, reprezentowane przez Sharona i Pollarda. Pierwszy z nich uważa, że Izrael stanowi pod pewnym względem specjalny wypadek, zwalniający z obowiązujących normalnie zasad, a to ze względu na swe powstanie i historyczne okoliczności. Istnienie tego państwa jako Ziemi Obiecanej jest uświęcone ponad istnienie innych państw, a ochrona Izraela usprawiedliwia przeto wszelkiego rodzaju zarozumiałość i „brudne metody”, np. aneksje, bombardowania i porwania (...).

Ponadto — pisze dalej Watt — ludzie w rodzaju Sharona stale utrzymują, że kto zgłasza zastrzeżenia do polityki Izraela jest winowajcą z moralnego punktu widzenia i nieuczynym na przeszłość; ponieważ z powodu Holocaustu cały świat ma dług wobec Izraela, na warunkach izraelskich.

Stanowisko Pollarda jest jeszcze bardziej radykalne. Jest to stanowisko anty-asymilacyjne doprowadzone do swej logicznej konkluzji: lojalność wobec Izraela ma pierwszeństwo ponad lojalność dla własnego państwa. Taka interpretacja żydowskości jako gigantycznej konspiracji (jak komunizm) przeciw państwu jest odrzucana z oburzeniem i słusznie przez znaczną większość Żydów. Ale w takim nastawieniu jest żdźbło prawdy, czego dziwne rezultaty widzimy zwłaszcza w Ameryce.

Jako przykład, autor artykułu w *Timesie* przytacza sprawę tzw. „Irangate”. Pisze on, że w aferę tę zamieszany był blisko i złowieszczo Izrael. Odegrał on też zasadniczą rolę przy ciemnych transakcjach finansowych z nią związanych. Zdumiewające jest — dodaje — jak Izrael potrafił wykorzystać dla własnych interesów słabość administracji amerykańskiej.

Równie zdumiewające jest — pisze Watt — z jaką delikatną ostrożnością ten własny aspekt afery potraktowała większość amerykańskich środków masowego przekazu. Każdy kto pracował w Waszyngtonie lub Nowym Jorku zna powody: izraelskie „lobby” w ciągu lat zapewniło sobie bezkonkurencyjnie silne wpływy, opierając się na fakcie, że tak wielu ludzi w amerykańskich sferach urzędowych i mediach — to Żydzi, którzy nie chcą pogodzić się z tym, iż obiektywne interesy Stanów Zjednoczonych oraz Izraela często i nieuchronnie są odmienne.

Kończąc David Watt pisze, że sprawa Pollarda może przyczynić się do podważenia — jak określa — sprzecznych z naturą wpływów Izraela na politykę amerykańską, istniejących od blisko 40 lat.

W. L.

NA DAWNYCH PRZEDMIEŚCIACH

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 6)

twórczość nie była inną od późniejszej, to jednak pisarstwo Popławskiego w „Głosie” jest naszą Arką Noego, naszym początkiem jako szkoły myślenia i obozu politycznego a on pierwszym rektorem tej szkoły.

Gdy się idzie alejami starych Powązek gnębi człowieka jeszcze jedna refleksja. Myśl o grobie, którego brakuje. Dalej myśl biegnie do wielkiego miasta nad Nową, gdzie we wrześniu 1916 r. a więc przed miesiącem stuknęła jeszcze jedna 70-ta rocznica, zmarł trzeci z „wielkiej trójki” — Zygmunt Balicki. Czas był niespokojny, wojenny, Warszawa i Kongresówka pod okupacją niemiecką. Nie było tak szybkiej jak dziś komunikacji, był front więc zmarłego pochowano pod murami Kościoła Św. Katarzyny, a więc na cmentarzu piotrogrodzkiej Polonii, niemalże obok miejsca wiecznego spoczynku króla Stanisława Augusta. Potem Polska

odzyskała niepodległość a w Rosji władzę przejęli bolszewicy. Zanim ktokolwiek mógł wystąpić o sprowadzenie zwłok śp. Zygmunta Balickiego znalazł Newy nad Wisłą okazało się, że nie ma kogo sprowadzić, gdyż bolszewicy kościół rozebrali, zwłoki z metalowych trumien wrzucili do zbiorowej mogiły i je pogrzebali. Także zwłoki Balickiego.

A może by tak się postarać przynajmniej o grób symboliczny w postaci tablicy na zewnętrzny murze cmentarza Kościoła Św. Karola Boromeusza. Za takim śladem pamięci właśnie na Powązkach przemawia to, że gdyby Balicki zmarł w tym samym czasie w Warszawie, mógłby być pochowany raczej na Powązkach, niż na Bródnie, podobnie jak Popławski. Także i to byłoby cenne, że idąc na Powązki mielibyśmy dwa miejsca pamięci po drodze, niedaleko od siebie... oprócz wielu innych grobów wybitnych narodowców.

MAREK PRZEWOSKI